piątek, 27 grudnia 2024 NR 278 (18088)

Sport

Ukazuje się od 1945 roku



Góraka Klub Sukcesu

W trakcie meczu jes

Rozmowa z **Rafałem Górakiem**, trenerem GKS-u Katowice

Kończy się 2024 rok, który dla GKS-u był wyjątkowo udany. Drużyna zaczynała go na 11. miejscu w 1. lidze, a kończy go w połowie tabeli ekstraklasy.

- Całe 12 miesięcy było bardzo dobrych. Nasza droga do ekstraklasy to jedno, a drugie to sama gra w elicie. Szkoda więc, że ten rok już się kończy, bo był dla mnie i dla całego klubu bardzo udany. Życzyłbym sobie, żeby następne lata były takie same. Jeśli zdrowie będzie dopisywało, musimy pozostać na tej drodze, bo obraliśmy dobry kurs.

Czy gdy zaczynała się runda wiosenna w 1. lidze, sądził pan, że za kilka miesięcy będzie pan trenerem ekstraklasowym?

- Nie planowałem tego. Nie zastanawiałem się nad tym, na którym miejscu i w jakiej lidze będę na koniec roku. Koncentrowałem się na tym, co jest przede mną. Wiedziałem, że przed zespołem była runda wiosenna, że mieliśmy stratę do strefy barażowej. Patrzyłem także na dół tabeli, czy jesteśmy bezpieczni, żeby nie musieć walczyć o utrzymanie do końca sezonu. Kilka razy też spojrzałem, ile punktów dzieli nas do czołowej dwójki. Strata była okropnie duża, więc głowy tym sobie nie zaprzątałem. Skupiałem się na tym, żeby do każdego kolejnego meczu odpowiednio się przygotować. Nie było mowy o długoterminowym planowaniu.

Ostatecznie GieKSa niespodziewanie awansowała do ekstraklasy. Czy od tego momentu zmieniło się pana życie?

- Życie się nie zmieniło i mam nadzieję, że się nie zmieni. Natomiast długo czekałem na to, żeby być trenerem w ekstraklasie. Starałem się do tego przygotowywać, będąc upartym. Miałem przeczucie, że moja trenerska droga będzie podobna do tej piłkarskiej. Jako zawodnik także chciałem zagrać w ekstraklasie, a zagrałem w niej bardzo późno, awansując ze Szczakowianką Jaworzno w 2002 roku. Jako szkoleniowiec miałem nadzieję, że nadejdzie sezon, kiedy wrota ekstraklasy się przede mną otworzą. Warto było czekać, bo gdy coś samemu osiągnę, mam większą wewnętrzną satysfakcję.



Fot. PressFocus

Trener Rafał Górak miał w trakcie rundy jesiennej kilka okazji do świętowania.

W jaki sposób więc zmienił się pana system pracy? Zgaduję, że jest różnica, gdy trenuje się zespół w I lidze i w ekstraklasie.

- System pracy zmienia się nawet pod względem zarządzania grupą ludzi. Przed laty w sztabie trenerskim GKS-u Katowice pracowało siedem osób. Dzisiaj pracuje 14. Tym samym zarządzanie sztabem znacząco różni się od systemu wypracowanego w II czy I lidze. Dużo czasu poświęcam, żeby pracę rozdzielić, żeby sztab był dobrze zorganizowany. Każdy musi być usatysfakcjonowany z tego, jakie zadania ma do wykonania i każdy ma się czuć odpowiedzialny za proces treningów czy analiz. Zlecam więc sporo pracy, której rezultaty wracają do mnie w surowej formie. Korzystam z tego po akceptacji i przekazuje zawodnikom. Praca więc się zmienia. Standardy idą do góry i jestem orędownikiem tego, żeby je jak najbardziej zwiększać. Wychodzę z założenia, że są one istotne i cieszę się, że klub stwarza mi odpowiednie warunki. Mam pod sobą wartościowy sztab, ludzi, którzy chcą się rozwijać i ciężko pracować. A pracy jest bardzo dużo.

Ostatnie sezony dla beniaminków w ekstraklasie nie były łaskawe. I nam nie jest łatwo. Poziom w ekstraklasie ucieka I lidze.

Ilość pracy w zawodzie trenera, szczególnie w ekstraklasie, może przytłoczyć. Narzeka pan na brak czasu wolnego?

- Parę lat temu miałem mniej czasu, bo pracę organizowałem wokół siebie. Wszystko zależy od nas i nie warto popadać w skrajne emocje związane z pracoholizmem. Sport jest pasją i polega na ogromnej chęci realizowania się. Trzeba umieć znaleźć złoty środek, rozglądać się wokół. Był moment, kiedy „leciałem" i potrafiłem pracować do późnych godzin nocnych, a rano wcześnie wstawać. Czy to jednak było tak jakościowe, jak praca zorganizowana wokół grupy ludzi, którym zaufałem i oddałem część obowiązków? Nie. Dzięki temu wygrałem i mam więcej czasu dla siebie i rodziny. Oczywiście sport pochłania, nawet z racji tego, że gramy w weekendy. Rywalizujemy na okrągło. Nawet ta przerwa zimowa jest krótka. Czasu może nie ma dużo, ale warto organizować pracę w taki sposób, żeby móc się zresetować.

Wyniki w ekstraklasie pokazują, że praca wykonywana przez pana, pański sztab i zawodników przynosi efekty. To stoi w kontrze do tego, jak radziła sobie część beniaminków w poprzednich latach. W poprzednim sezonie Ruch i ŁKS spadły od razu po awansie.

- Ostatnie sezony dla beniaminków w ekstraklasie nie były łaskawe. I nam nie jest łatwo. Poziom w ekstraklasie ucieka I lidze. Chcieliśmy być do rozgrywek przygotowani. Prawda jest taka, że będąc w GKS-ie przez ostatnich parę lat, przyglądałem się ekstraklasie uważnie. Myślałem o tym, że chciałbym do niej z GieKSą awansować i chciałem być na nią przygotowany. Chciałem, żeby wszyscy wiedzieli, że po awansie nie będziemy ekipą, która będzie tylko i wyłącznie drżała o utrzymanie. Drużyna musiała mieć swoje zasady, musiała być rozpoznawalna, musiała wiedzieć, w jaki sposób bronić i atakować. Nie chciałem, żebyśmy popadli w nerwowość wynikającą z braku punktów, nawet już po pierwszych miesiącach gry. Runda jesienna była dla nas bardzo ważna w perspektywie tego, co będziemy robić dalej. Założyliśmy, że w ekstraklasie mamy grać daną grupą ludzi i to nam wypaliło. Wiadomo, że transfery są istotne, ale u nas wielu zawodników grających w poprzednim sezonie w 1. lidze, umiejętnie weszła w rozgrywki na najwyższym poziomie.

Runda jesienna była dla nas bardzo ważna w perspektywie tego, co będziemy robić dalej. Założyliśmy, że w ekstraklasie mamy grać daną grupą ludzi i to nam wypaliło.

Według mnie letnie wzmocnienia były bardzo istotne. GKS racjonalnie podszedł do tematu transferów i ściągnął znanych na polskim rynku graczy. Bartosz Nowak, Adam Zrelak czy Alan Czerwiński nie są piłkarzami anonimowymi. Czy to jeden z kluczy do godnej rywalizacji na najwyższym poziomie?

- Zawsze planowaliśmy transfery z dyrektorem sportowym, rozpatrując, czy będziemy grać w 1. lidze, czy w ekstraklasie. Plan „ekstraklasa w Katowicach" zawsze istniał, choć przecież rok temu byliśmy na 11. miejscu w 1. lidze i trzeba było pilnować innych rzeczy. Często jednak rozmawialiśmy o tym, jak zareagujemy po ewentualnym awansie. Latem rozstaliśmy się z Grzegorzem Janiszewskim, który odszedł do Zagłębia Sosnowiec, a potem z Shunem Shibatą, który gra w Warcie Poznań. Reszta ekipy została i stwierdziliśmy, że potrzebujemy rozszerzyć kadrę. Chciałem, żebyśmy sprowadzili doświadczonych zawodników, aby nadali szatni pewności siebie. Chciałem, żeby dzięki zawodnikom, którzy zasmakowali ekstraklasy, zespół czuł się w tej lidze bezpieczniejszy. Byłem pewny, że zawodnicy, których miałem do dyspozycji w I lidze, poradzą sobie w elicie, ale potrzebowałem też graczy, którzy ekstraklasę znali.

Czy aspekt uniknięcia bariery językowej był dla pana ważny?

- Nie miało to znaczenia. Jeżeli mielibyśmy zakontraktować większą liczbę obcokrajowców, nie miałbym z tym problemu. Taki zawodnik musi jednak dopasować się do polityki klubu. Nigdy nie odstąpię od tego, że zawodnikami pierwszego wyboru będą zawodnicy z Polski. Nie mam oczywiście nic przeciwko zawodnikom z zagranicy, z wielką przy-

Sport 138d7f84ae

stem tylko trenerem

jemnością przyjmę ich w zespole, natomiast muszą być to piłkarze, którzy dadzą nam coś więcej. Nie może to być zawodnik, który zdecydowanie przegrywa rywalizację z zawodnikiem, który już w drużynie jest. Marten Kuusk, który rok temu dołączył do zespołu, dał nam jakość. Borja Galan na pierwszoligowych boiskach był zawodnikiem wyróżniającym się. A Adam Zrelak jest klasą samą w sobie. Właśnie takich obcokrajowców szukam.

Zadałem to pytanie, ponieważ w jednym z ostatnich meczów w mijającym roku, z Lechią Gdańsk, wystawił pan jedenastkę złożoną z dziesięciu Polaków. Natomiast rywale wyszli na boisko z taką samą liczbą... obcokrajowców.

Faktem jest, że po awansie podniosła się intensywność. Zawodnicy są jeszcze bardziej eksploatowani i wchodzą na jeszcze wyższy poziom.

- Dzisiaj rynek jest otwarty. Nie mogę krytykować decyzji personalnych w innych klubach. Dla mnie czymś naturalnym jest to, że moi zawodnicy, niezależnie od tego, czy są z Hiszpanii, czy z Estonii, mają uczyć się języka polskiego. Mają być ludźmi, którzy doceniają to, że w szatni mówi się po polsku, a historia naszego klubu też pisana jest w tym języku. Ci zawodnicy muszą wiedzieć, w jakim kraju są. Nawet gdybym miał czterech zawodników z Hiszpanii, odprawy nie byłyby prowadzone w ich ojczystym języku. Musiałyby być prowadzone tak, żeby je rozumieli, ale muszą uczyć się polskiego.

We wspomnianym meczu z Lechią Gdańsk nie wystawił pan w pierwszym składzie zawodnika U-21. Po meczu dosadnie wypowiedział się pan o przepisie o młodzieżowcu, co nie może dziwić. GKS ma deficyt „młodzieżowych" minut. Co pana najbardziej irytuje w przymusie grania z piłkarzem U-21 pod groźbą zapłacenia kary?

- Jeżeli są wdrażane pewne przepisy, chciałbym, żeby dla każdego były one takie same. Dziś, jeśli GKS Katowice nie wystawiałby młodzieżowców, zapłaciłby trzy miliony złotych kary. To może być ponad 10 procent budżetu klubu. Tymczasem dla innego klubu może to być nikły procent budżetu i będzie w stanie taką karę bez problemu zapłacić. W tym aspekcie szanse nie są równe. Po drugie, idea przepisu nie ma sensu, jeśli słyszę, że ma on pomóc młodym piłkarzom w rozwoju. Beneficjentem tego przepisu są tylko kadry młodzieżowe. To nie jest dobry pomysł i można by było długo na ten temat rozmawiać, szukać za i przeciw, ale uważam, że taki przepis w ekstraklasie jest sztuczny i nierówny. Szanse w pozyskiwaniu czy wychowywaniu młodzieżowców nie są równe. W czasie mojej pracy w GKS-ie Katowice z klubu odeszło około 20 zawodników w wieku 13-15 lat. Dołączyli do klubów, które mają inną infrastrukturę, które wyłapują najlepszych piłkarzy. Rodzice natomiast myślą, że ich syn może być Lewandowskim i zawożą go do klubu na drugim końcu Polski. U nas długo też nie było ekstraklasy, która zawsze jest dobrym nośnikiem dla akademii. Chcemy wzbogacić infrastrukturę, ale na to musimy czekać. Jeżeli miałbym dostęp do tych młodych piłkarzy, którzy od nas odeszli, dziś być może doczekałbym się przygotowanego gracza z akademii. Tak nie jest. Trzeba więc pozyskiwać młodzieżowców z rynku tylko po to, żeby wypełniali limit przepisu. Dla mnie to jest sztuczne, a według mnie zawodnik w wieku 21 lat powinien się po prostu bronić swoją grą.



Fot. Kacper Pacocha/PressFocus

Oskar Repka jest jednym z zawodników, którzy po awansie do ekstraklasy nie stracił pozycji w składzie GKS-u.

Na przepis o młodzieżowcu nie ma pan wpływu, podobnie zresztą jak na kontuzje, które często nawiedzały piłkarzy GieKSy w rundzie jesiennej. Jak radzić sobie z plagą urazów?

- W ostatnich latach problem kontuzji był znacznie mniejszy niż aktualnie. Zaatakowały nas mechaniczne i mięśniowe kontuzje. Na mechaniczne urazy nie mamy żadnego wpływu. Czasem wydaje się, że możemy mieć wpływ na kontuzje mięśniowe. Zastanawiamy się, czy coś zostało zaniedbane, czy można coś poprawić. Rozmów z trenerami przygotowania motorycznego prowadzimy na ten temat wiele i nie zauważamy problemów w procesie treningowym. Faktem jest, że po awansie podniosła się intensywność. Zawodnicy są jeszcze bardziej eksploatowani i wchodzą na jeszcze wyższy poziom. Od tego nie uciekniemy i to może być jeden z problemów wywołujący kontuzje. Zadowolony jednak jestem z głębi kadry. Zawodnicy, którzy grali w I lidze, dawali sobie radę w ekstraklasie. Udźwignęli problem, gdy kontuzjowani byli kluczowi zawodnicy, jak Adam Zrelak i Bartosz Nowak.

Piłka nigdy nie była sprawiedliwa i dlatego jest tak kochana przez ludzi. Mniejszy zawsze ma szansę na to, żeby wygrać z dużym. Gdy spotykają się drużyny na podobnym poziomie, sprawiedliwość się rozmywa, a o zwycięstwie może zadecydować detal.

Czy zadowolony jest pan też z wyników eksperymentu, który był pochodną kontuzji kilku piłkarzy? Chodzi mi o przesunięcie Alana Czerwińskiego do linii obrony i ustawienie Borji Galana, zawodnika stricte ofensywnego, w roli wahadłowego.

- O ile Alana Czerwińskiego dość łatwo dało się przestawić do linii obrony, o tyle jeśli chodzi o Borję, ktoś mógł być zaskoczony, oglądając go na wahadle. W treningu, po poznaniu zawodnika i po wielu rozmowach z nim, czułem, że zawodnik rozumie każdą pozycję na boisku. Borja to szalenie inteligentny człowiek. Bardzo szybko wchłaniał wiedzę, żeby zagrać na tej pozycji. Wiele dzięki temu wygrał, bo w roli wahadłowego zagrał parę dobrych meczów.

Grając na wahadle, Borja Galan często biega blisko linii, gdzie znajduje się pan. Nie jest on jednak narażony na krzyki z pana strony, bo zauważyłem, że rzadko próbuje pan coś głośno przekazać drużynie w trakcie meczu. Wykonuje pan natomiast mnóstwo kroków, poruszając się po strefie wyznaczonej dla trenerów. W ten sposób rozładowuje pan emocje?

- Często rozmawiam ze swoimi zawodnikami i kiedyś, gdy przy linii byłem bardzo impulsywny, zauważyłem, że nie zdaję to egzaminu. Zapytałem więc piłkarzy, czy w ogóle słyszą, co ja do nich krzyczę. Stwierdzili, że gdy trener do nich krzyczy, to zazwyczaj sądzą, że ma do nich pretensje. A przecież nie zawsze o to chodzi. Postanowiłem więc pracować nad tym, żeby zapanować nad sobą. Żeby nie krzyczeć, zacząłem chodzić. Jest to też kwestia tego, że trener w trakcie meczu jest w swoim wewnętrznym, piłkarskim świecie. Wpada się w amok i w trakcie spotkania nie jest się ojcem, mężem czy kumplem. Jest się wyłącznie trenerem, który jest odpowiedzialny za mnóstwo spraw. Szkoleniowcy różnie reagują. Ja zdecydowałem, że nie ma sensu eksploatowanie się i krzyczenie podczas każdej akcji. Zawodnicy muszą być gotowi i więcej czasu poświęcam na rozmowy w trakcie procesu treningowego.

W rundzie wiosennej w kilku meczach GKS zagrał lepiej od rywali, ale ostatecznie nie wygrał. Czy jest jakiś mecz, w którym pański zespół powinien zdobyć trzy punkty, a nie zdobył?

Takie było starcie z Koroną Kielce, gdy wydawało się, że powinniśmy zdobyć trzy punkty, a przegraliśmy. Z tego trzeba tylko wyciągnąć wnioski.

Czy natomiast był mecz, który od początku do końca się panu podobał?

- Nie było meczu idealnego i nie wiem, czy chciałbym, żebyśmy taki kiedyś zagrali. Wiele meczów sprawiło mi natomiast niesamowitą frajdę. Z wielu rzeczy byłem podczas spotkań dumny. Wygranie u siebie z mistrzem Polski, będąc beniaminkiem, jest naprawdę dużym wydarzeniem. Jednak każdy mecz przynosi wiele satysfakcji, bo wróciliśmy do ekstraklasy po 19 latach. GieKSa za tym tęskniła. Wiemy, jak trudno było do niej awansować. Pamiętamy, jak wiele klub przeszedł, żeby w końcu zagrać w elicie. Sam byłem w GKS-ie trenerem na trzecim poziomie rozgrywkowym. Teraz każdy moment w ekstraklasie jest nagrodą i trzeba to doceniać. Wynikowo szło nam raz lepiej, raz gorzej, ale z tego, w jaki sposób drużyna gra, jestem bardzo zadowolony.

Wkroczyliśmy w świąteczny nastrój, więc czego kibice mogą życzyć GKS-owi Katowice w nadchodzącym roku?

- GKS rozpocznie nową historię na nowym stadionie. Życzę sobie tego, żeby GieKSa się tam zadomowiła i żeby świetnie reprezentowała Katowice w nowym domu. Życzę tego, żeby zawsze na trybunach był komplet publiczności, żeby ekstraklasa w Katowicach pozostała na długie lata. Wszystkim natomiast należy życzyć zdrowia. Rozstanie z tak wielką postacią, jaką był Jasiu Furtok, daje do myślenia. Życie jest krótkie i kruche. Zdrowie jest najważniejsze i wszystkim, nie tylko związanym z GieKSą, tego życzę.

GKS rozpocznie nową historię na nowym stadionie. Życzę sobie tego, żeby GieKSa się tam zadomowiła i żeby świetnie reprezentowała Katowice w nowym domu. Życzę tego, żeby zawsze na trybunach był komplet publiczności, żeby ekstraklasa w Katowicach pozostała na długie lata.

Rozmawiał
Kacper Janoszka

Sport 138d7f84ae

15. PUSZCZA NIEPOŁOMICE

STRZELCY (17)

6 – Kosidis, 2 – Cholewiak, Jakuba, 1 – Abramowicz, Blagaić, Craciun, Mroziński, Serafin, K. Stępień, Szymonowicz.

PLUS

Grecki „wieżowiec”

Po niespodziewanym wykupieniu Kamila Zapolnika przez Bruk-Bet oraz przeciągających się powrotach do zdrowia Roka Kidricia i Artura Siemaszki, w Puszczy mieli twardy orzech do zgryzienia związany z pozycją napastnika. Postawili na obcokrajowca i nie żałują. Wypożyczenie z AEK-u Ateny mierzącego 191 cm Greka Michalisa Kossidisa okazało się dobrym posunięciem. 22-latek jest nie tylko najlepszym strzelcem drużyny, ale wykonuje wiele ciężkiej pracy. Puszcza ma opcję wykupu piłkarza i jak tak dalej pójdzie, powinna się poważnie zastanowić nad tym ruchem, o ile będzie ją stać, bo wiadomo, że nie należy do finansowych potentatów.

MINUS

Poprawnie to za mało

Jednym z ojców utrzymania „Żubrów” w premierowym sezonie w ekstraklasie był wypożyczony w trakcie rundy bramkarz Oliwier Zych. „Jedynką”, podobnie jak obecnie, na początku był Kewin Komar, ale potem uszkodził sobie rękę w czasie bójki na festynie Wiśniczu Małym. Złamał szczękę innemu mężczyźnie, a próbując ratować skórę, oskarżył o pobicie kibiców Wisły Kraków. Sam został winny, ale sąd odstąpił od wymierzenia kary, umarzając postępowanie na rok próby. Jesienią Komar swoimi interwencjami rzadko ratował drużynę, nie utrzymywał jej w grze. Sprowadzenie lepszego bramkarza powinno zwiększyć szanse na utrzymanie.

Utarty scenariusz

Trzecia runda Puszczy w ekstraklasie miała taki sam przebieg jak dwie poprzednie.



Jesienią zawodnicy Puszczy długo nie mogli się cieszyć z sukcesów.

Podopieczni trenera Tomasza Tułacza zdobywali jesienią średnio punkt na mecz. W pierwszym sezonie na najwyższym szczeblu do utrzymania wystarczyło im 1,18, więc w 16 pozostałych do rozegrania kolejkach będą musieli uzbierać nieco więcej „oczek”.

Szczęście do... sędziów

Jesień rozgrywek 2024/25 toczyła się według scenariusza, który w Niepołomicach już dobrze znano. Początek był taki sobie, następnie następowała długa seria bez zwycięstwa, z dużą liczbą porażek, by na koniec znów odżyły nadzieje, a w tabeli zaczęło przybywać punktów. Niepołomiczanie na pierwszą wygraną czekali do piątej kolejki. Od razu zapisali się w historii, bo pokonując Lechię Gdańsk 4:1, odnieśli najwyższe zwycięstwo w ekstraklasie. Były to jednak miłe złego początki. Po nich przyszły trzy remisy, a następnie pięć z rzędu porażek – w tym najboleśniejsza 0:6 z GKS-em Katowice. Piłka jest przewrotna, więc przełamali się z liderem, Lechem Poznań. Dopiero 30 listopada po raz pierwszy triumfowali na wyjeździe. W najlepszym możliwym czasie i miejscu, bo nie pozwolili zbliżyć się Śląskowi Wrocław. Pod koniec rundy „Żubry” miały szczęście do decyzji sędziowskich, którzy mylili się na ich korzyść. W odprawieniu „Kolejorza” pomogła im czerwona kartka dla Michała Gurgula. Sędziowie, z Pawłem Raczkowskim na czele, źle ocenili sytuację i napomnienie lewego obrońcy, pokazane już w 23 minucie, zostało anulowane przez Komisję Ligi. Puszczy łatwiej było też bronić dwubramkowego prowadzenia z Widzewem Łódź, grając w przewadze po drugiej żółtej Mateusza Żyry. Organ dyscyplinarny Ekstraklasy uznał potem, że Marcin Szczerbowicz zbyt pochopnie po raz drugi ukarał defensora.

Wreszcie wrócą do siebie

W Niepołomicach ani przez moment nie myśleli o zmianie trenera, choć było bardzo trudno, a Tomasz Tułacz nie krył, że jeżeli zespół nie wróci na właściwe tory, to nie będzie dla niego miejsca w najlepszej „18” w kraju. Po klęsce z GieKSą szkoleniowiec mówił, że katowiczanie grali przeciwko zlepkowi ludzi, którzy nie wiadomo po co wyszli na boisko. 55-latek po raz kolejny poradził sobie z dużym kryzysem, co pokazuje, że nie zawsze opłaca się żegnać trenerów po kilku niepowodzeniach. Problemy Puszczy po części wynikały z braków fizycznych, które były zaś następstwem wielu kontuzji. Miała ona też problem z rzutami rożnymi w defensywie, po których rywale strzelali im gole. Jedna z ich najsilniejszych broni obróciła się przeciwko nim i musieli poświęcić naprawdę sporo treningów, by na nowo poukładać swoją grę.

Puszcza nie ma potencjału, by walczyć o coś więcej niż utrzymanie. Dla tego zespołu pozostanie w ekstraklasie na trzeci sezon będzie wyczynem na miarę zdobycia medalu. Najprawdopodobniej jeszcze raz, przeciwko Zagłębiu Lubin w pierwszym meczu w roli gospodarza w 2025 roku, zagrają na stadionie Cracovii, który był ich domem od awansu. Potem wrócą na swój specyficzny stadion, który na pewno będzie ich atutem.

Michał Knura

Zimowa ewolucja

Mówi **Marek Bartoszek**, członek zarządu Puszczy Niepołomice



Po sezonie zrezygnował pan z funkcji prezesa i został prokurentem spółki – zamieniliście się rolami z Jarosławem Pieprzycą. Po czasie może pan powiedzieć, że to była dobra decyzja?

– Zadecydowały o tym tylko moje osobiste powody. Uznałem, że trzeba trochę innego spojrzenia, innej odpowiedzialności i innego impulsu, by klub i spółka nim zarządzająca się rozwijały. Zrobiliśmy nieoczekiwaną zamianę miejsc i patrząc na to, w jakiej sytuacji Puszcza jest obecnie, to uważam, że to była nie tyle dobra, co znakomita decyzja dla nas wszystkich. Wszyscy mówią, że drugi rok gry w ekstraklasie jest zdecydowanie trudniejszy, a my kończymy go nad kreską i dalej walczymy o marzenia w Pucharze Polski. Organizacyjnie też zrobiliśmy kolejny krok do przodu, dalej się rozwijamy, więc to było najlepsze, co mogliśmy zrobić od strony formalno-organizacyjnej.

Jaka zima przed Puszczą? Będą odejścia i transfery do klubu?

– Na świecie nie ma klubu na poziomie centralnym, który ciągle nie myślałby o wzmocnieniu kadry i zmianach w niej. Każda runda przynosi wnioski. Część zawodników jest niezadowolona, bo nie gra, inni są tak zadowoleni ze swoich występów, że mają inne oferty. Okresy pomiędzy rozgrywkami są nieustanną budową zespołu. My chcemy ewolucji, nie rewolucji. Ma przynieść ona konkretny wpływ na grę. Wzmocnienia mają podnieść rywalizację. Półtora roku w ekstraklasie nauczyło nas oczekiwań związanych z ligą i wobec zawodników. Nie jest to łatwe w sytuacji, gdy nasze możliwości finansowe są często niższe niż klubów występujących w I lidze. Natomiast mamy przygotowany plan wzmocnień czy korekt na niektórych pozycjach. Są zawodnicy, którym kontrakty kończą się w czerwcu, więc teraz jest moment, by rozmawiać z nimi o przyszłości, o pozostaniu w Niepołomicach lub zmianie przez nich barw. Wielu piłkarzy zmieniło swoją przynależność w lecie i teraz w zimie nie ma co się spodziewać tak dużych roszad, jak miało to miejsce kilka miesięcy temu. Duży wpływ na decyzje kto do klubu dołączy, będzie miało to, kto się z nim pożegna.

W rundzie rewanżowej chcecie wrócić na swój stadion. Jeżeli nie zdążycie na pierwszy domowy mecz, to gdzie go rozegracie? Na obiekcie Cracovii czy w Sosnowcu?

– Nie mamy jeszcze podpisanych żadnych dokumentów dotyczących ewentualnego rozegrania pierwszego meczu na wiosnę. Jest to związane z tym, że umowy z wykonawcami prac na naszym stadionie obligują ich do zakończenia robót do końca stycznia. Pierwszy mecz domowy rozgrywamy w pierwszym tygodniu lutego, więc mamy wąskie okienko, nieco ponad tydzień na uzyskanie zgód, dokumentów administracyjnych, które pozwolą zorganizować spotkanie. Do końca roku będziemy musieli mieć informacje od wykonawców, w jakim stopniu poziom zaawansowania prac jest zgodny z przedstawionym harmonogramem. Na tej podstawie będą podejmowane decyzje o ewentualnych rozmowach w sprawie wynajęcia stadionu. Dla nas najwygodniejszym rozwiązaniem, w przypadku meczu poza Niepołomicami, byłoby pozostanie na tym samym stadionie zastępczym, ale żadne decyzje jeszcze nie zapadły. Zdecydowanie łatwiej byłoby nam, by był to obiekt, na którym w tym sezonie gra ekstraklasa. Przystosowanie na jeden mecz obojętnie jakiego stadionu, który w rundzie jesiennej nie gościł ekstraklasy, to karkołomne zadanie.

Opracował mik

Sport 138d7f84ae

16. KORONA KIELCE

STRZELCY (15)

6 – Dalmau, 4 – Pedro Nuno, 2 – Błanik, 1 – Fornalczyk, Nagamatsu, Pau Resta

PLUS

Nie tylko liga

Korona zaskakująco dobrze spisuje się w Pucharze Polski, ciągle może zdobyć to trofeum. Kiedy ograła w rzutach karnych Stal Mielec, niewiele jeszcze wskazywało, że może być jasną stroną tegorocznych rozgrywek. Potem jednak wygrała zarówno w rezerwami Lecha Poznań, jak i z pierwszą drużyną Widzewa (RTS zresztą jej ostatnio leży, trzasnęła go również na wyjeździe w lidze) i tym sposobem zameldowała się już w najlepszej ósemce). Pod koniec lutego powalczy o półfinał z Ruchem Chorzów na Stadionie Śląskim. W sumie Koronie brakuje już tylko dwóch kroków, żeby wyrównać własne najlepsze osiągnięcie w historii, czyli finał Pucharu Polski w sezonie 2006/07. No a trzech, żeby... zagrać w europejskich pucharach.

MINUS

Gra u siebie

Tak się złożyło, że jesienią Korona lepszy wynik osiągnęła w meczach wyjazdowych (bilans: 2-4-3, czyli 10 pkt) niż domowych (bilans: 2-2-5, czyli 8 pkt). Pary zabrakło jej szczególnie pod koniec, bo ostatnie zwycięstwo u siebie odniosła 15 września, a potem w Kielcach już nie wygrała. U siebie potrafiła wcześniej wygrać tylko z dwoma bezpośrednimi rywalami w walce o utrzymanie, na wyjeździe osiągnęła za to dwa zwycięstwa z przeciwnikami, którzy po rundzie jesiennej nie muszą się już raczej martwić o ligowy byt – z Widzewem i GKS-em Katowice.

Scyzoryki nie odpuszczą

Czy Korona utrzyma się w ekstraklasie? Jedno jest pewne: będzie walczyła do końca.



Piłkarze Korony pozdrawiają kibiców po ostatnim meczu z Pogonią.

W nowy rok klub z Kielc wchodzi na 16. miejscu w ekstraklasie. Z jednej strony – to miejsce spadkowe, z drugiej – warto zacisnąć zęby i nie poddawać się, tym bardziej że Puszcza Niepołomice – drużyna znajdująca się wyżej ledwie o miejsce, ale dające przecież ligowy byt – ma tyle samo punktów. Wiosną będzie więc zażarta walka o to, by przeciwnika z tego miejsca zepchnąć albo nie dać mu się zepchnąć. W słowie „zażarta" mieści się ogromny ładunek potu, krwi i żarliwości. Korona nie odpuści!

Ktoś musi strzelać!

Problemem Korony jest słaba skuteczność. Gdyby najprościej podejść do zagadnienia, można by stwierdzić, że Korona dlatego zajmuje miejsce w strefie spadkowej, że nie potrafi strzelać bramek. Wbiła ich zaledwie 15; to przedostatni wynik w lidze, gorszy jest tylko – o jedną bramkę – zamykający stawkę Śląsk Wrocław.

Z drugiej strony Korona stara się walczyć do końca. Pod względem liczby bramek zdobywanych w ostatnim kwadransie meczu zajmuje czwarte miejsce z siedmioma golami (prowadzi w tej klasyfikacji Raków, który ma takich bramek 12).

Oczywiście w każdej sytuacji można znaleźć plusy. Jak wyliczył portal 90.minut.pl, Korona świetnie promuje młodzieżowców. Zajmuje w tej chwili drugie (za Lechią Gdańsk) miejsce pod względem liczby minut na boisku zawodników poniżej 21. roku życia (4091 min – to 22,96% udziału młodzieżowców w stosunku do wszystkich zawodników).

Będzie ktoś nowy?

Pamiętać trzeba, że Korona jest w trudnym momencie pozasportowym, być może na dziejowym zakręcie. Chodzi o to, że kielecki klub potrzebuje stabilności finansowej. Podczas niedawnej konferencji prasowej prezydent Kielc Agata Wojda stwierdziła, że miasto tak naprawdę nie jest w stanie jej zapewnić. Dlatego trwają poszukiwania firmy, która mogłaby wesprzeć klub czy nawet go przejąć. Wojda poinformowała, że wstępne rozmowy były prowadzone z kilkunastoma podmiotami, jednak zaawansowane negocjacje toczą się jedynie z dwoma, ale istnieje ponoć realna szansa, że już na początku przyszłego roku Korona miałaby zyskać nowego poważnego partnera biznesowego. Szanse na to prezydent oceniła nawet na 70 procent. Oceny ocenami – dla końcowego efektu tego rodzaju prognozy nie mają znaczenia.

Fakty są takie, że obecne zadłużenie wynosi około 9 mln zł, z czego ponad 7 mln zł to długi wobec miasta. Krzysztof Hajdarowicz, przewodniczący rady nadzorczej, niedawno przedstawił prognozę finansową na bieżący sezon, zakładającą przychody na poziomie ponad 26,6 mln zł i koszty blisko 31,2 mln zł. To oznacza prognozowaną stratę ponad 4,5 mln zł.

Dach też trzyma kciuki

Nie trzeba chyba dodawać, że ekstraklasa wymaga inwestycji nie tylko w drużynę. Korona miała nowy stadion bardzo wcześnie, jeszcze w czasach kiedy Polska kojarzyła się przede wszystkim z przestarzałą infrastrukturą. Autor tego tekstu pamięta, że pierwszy raz na nowiutkim wtedy stadionie w Kielcach był już 17 lat temu; w 2007 r. na meczu Polski z Armenią w eliminacjach mistrzostw Europy. Wtedy kielecki stadion należał – dziś to może wielu zdziwić – do najnowocześniejszych w kraju, jednak wszystko się przecież zużywa. Teraz, w przeddzień Wigilii, zakończyła się wymiana pokrycia zadaszenia trybun. Wymieniono wszystkie płyty poliwęglanowe, które wcześniej uszkodził grad. Ułożono 900 nowych płyt dachowych obejmujących łączną powierzchnię 8500 metrów kwadratowych. W Kielcach mają nadzieję, że dach będzie służył widzom w ekstraklasie, a nie w I lidze.

(pacz)

Nie skreślałbym Korony!



Rozmowa z 36-letnim **Jackiem Kiełbem**, byłym reprezentantem Polski, który pięciokrotnie przychodził do Korony, a dziś jest zawodnikiem Orląt Kielce

Jesień dla Korony nie była, delikatnie mówiąc, nadzwyczajna. Ale nadzieja na utrzymanie jest.

– Oczywiście! Utrzymanie to cel minimum. Każdy kibic Korony – w tym ja – w to wierzy i jest przekonany, że drużynie uda się zrealizować cel. To jest absolutnie do zrobienia, choć rzeczywiście ta jesień była... jaka była. Dodam, że chodzi o to, żeby z utrzymaniem nie czekać do ostatniej chwili, do ostatniej kolejki, jak w zeszłym sezonie. Korona dla ludzi z województwa świętokrzyskiego, którzy kochają piłkę, jest bardzo ważna.

Trener Jacek Zieliński chciałby, żeby w przerwie do każdej formacji doszedł wartościowy piłkarz.

– Uważam, że tak właśnie powinno być. Tym bardziej że chodzą różne słuchy, że któryś z piłkarzy mógłby jeszcze odejść. Wzmocnienia pomogłyby osiągnąć cel.

Jak ocenia pan pracę trenera Zielińskiego? Będzie w stanie utrzymać Koronę?

– Głęboko w to wierzę. Mam dla tego trenera szacunek, dwa razy zresztą współpracowaliśmy. Utrzymujemy kontakt. Zna się na tym, co robi, to fachowiec. Wierzę, że da sobie radę.

Czy w kadrze Korony jest piłkarz, którego gra panu szczególnie się podoba?

– Tak, kilku. Wrażenie na mnie robi choćby „Hoffi" (Yoav Hofmeister, izraelski pomocnik – przyp. red.). Nie dość, że gra na wysokim poziomie, to jeszcze potrafi go utrzymać w dłuższym okresie. To zaleta, szanuję to. Bardzo wartościowym piłkarzem jest również Martin Remacle. Kiedy jeszcze występowałem w Koronie, Belg ustawiany na boisku wyżej był bardziej widoczny. Teraz gra niżej, ale widocznie ta rola bardziej odpowiada trenerowi. Najskuteczniejszy jest obecnie Adrian Dalmau. Jesienią Hiszpan zdobył sześć bramek i szanuję ten wynik. Wiele dobrego można w przyszłości spodziewać się po Dawidzie Błaniku, który moim zdaniem okrzepł.

Co pan porabia obecnie?

- Znowu... gram w piłkę (uśmiech). Występy w Orlętach Kielce (IV liga świętokrzyska – przyp. red.) sprawiają mi bardzo dużo przyjemności. Ale coś, co mnie bardzo pochłania, to... szkółka piłkarska, którą prowadzę od dwóch miesięcy. Nazywa się „Szkółka Jacka Kiełba" i nie jest – podkreślam – akademią. My nie chcemy bić się z innymi o dzieci. To nie jest konkurencja dla akademii. Chcę pomóc, a jeśli dzieci będą chodziły na dodatkowe zajęcia, to kluby i akademie jedynie na tym skorzystają, bo zawodnicy będą podnosić także u nas swoje umiejętności. Wierzę, że pomagamy im stawać się lepszymi. Szkółka sygnowana jest moim nazwiskiem, ale prowadzę ją wspólnie z trenerami Kamilem Kuzerą i Pawłem Czają. Zajęcia prowadzimy w co najwyżej pięcioosobowych grupach. W ich trakcie przekazujemy dzieciom wskazówki dotyczące techniki strzału, sposobu biegania, koordynacji ruchowej czy prowadzenia piłki. Nie jest tak, że jeden z nas zajmuje się tylko w jedną specjalnością, a drugi inną. Chcemy działać tak, żeby każde dziecko korzystało z tych zajęć, a wiemy, że jesteśmy w stanie im pomóc. Dla nas nie jest istotne, skąd kto jest. Przyjmujemy wszystkich chętnych, bo wierzymy, że przy nas dzieci będą naprawdę się rozwijały. Muszę powiedzieć, że ten projekt daje mi ogromną frajdę!

Rozmawiał Paweł Czado

Sport 138d7f84ae

PODWÓJNY NELSON



Bogdan Nather

Nic straconego?

Wreszcie słowo stało się ciałem i „czerwona latarnia" ekstraklasy zatrudniła nowego szkoleniowca, który ma ją uchronić przed strąceniem w otchłań Betclic 1. Ligi. Zadanie nie będzie jednak łatwe, nawet dla takiego fachowca, jakim bez wątpienia jest 53-letni Słoweniec Ante Simundza. W tym momencie mogę cenionemu szkoleniowcowi udzielić tylko jednej dobrej rady: „Nie przejmuj się ewentualnymi porażkami, przejmuj się szansami, które stracisz, jeżeli nie spróbujesz'".

Po zwolnieniu Jacka Magiery wicemistrz Polski odrzucił kandydatury polskich trenerów, bo zainteresowani pracą w stolicy Dolnego Śląska byli między innymi Kamil Kuzera i Szymon Grabowski. Klub z Oporowskiej doszedł do wniosku, że tylko obcokrajowiec może wydobyć drużynę z tarapatów. Kandydaci jednak nie pchali się do Śląska drzwiami i oknami, ofertę wrocławian odrzucił między innymi Martin Svedik, z którym przedstawiciele klubu spotkali się osobiście, by omówić szczegóły i warunki współpracy. Dla niektórych była to zaskakująca decyzja, bo Czech od pół roku pozostaje bezrobotny.

Wraz z przyjściem Słoweńca w sztabie szkoleniowym wrocławian doszło do kilku zmian. Do Śląska dołączyli Damjan Oslaj (II trener), Toni Golem (asystent), Luka Basić (trener przygotowania motorycznego) oraz Luka Pintarić (analityk). Golema sympatycy futbolu z Polski mogą kojarzyć z występów w naszej ekstraklasie. W latach 2006-07 rozegrał 32 mecze w Górniku Łęczna, a przez kolejne półtora roku zakładał koszulkę Ruchu Chorzów (10 spotkań). W sztabie pierwszego zespołu pozostaną szkoleniowcy ze „starej gwardii" – Krzysztof Kapelan (trener przygotowania motorycznego), Maciej Sikorski i Miłosz Gładoch (trenerzy bramkarzy), Daniel Mila (techniczny analityk), kierownik drużyny Szymon Mikołajczak, lekarz Wojciech Sznajder, fizjoterapeuci Radosław Żabski, Mateusz Bystryk, Krzysztof Bukowski, psycholog Ewa Moroch, dietetyk Aleksandra Zagrodna (dietetyk). Ponadto nowym asystentem Ante Simundzy będzie Paweł Dziakowicz, który w Śląsku pracuje piąty sezon. W tym czasie zdobył dwa złote medale młodzieżowych mistrzostw Polski – w 2023 r. z zespołem U-15 i rok później z drużyną U-17 (w finale wygrywając z Legią Warszawa). Oprócz tego prowadzi projekt Future, czyli treningi dla najzdolniejszych młodych piłkarzy. – Zdaję sobie sprawę z powagi tego wyzwania, niemniej wierzę, że jesteśmy w stanie znacznie poprawić wyniki i się utrzymać – powiedział Ante Simundza. – W innym przypadku nie przystałbym na tę ofertę. Słyszałem wiele dobrego o zespole, kibicach i mieście. Czuję dużą ekscytację i nie mogę się doczekać rozpoczęcia pracy. Przed nami naprawdę trudne miesiące, ale uważam, że ciężką pracą, zaangażowaniem i motywacją możemy osiągnąć założone cele. Zrobimy wszystko, by zachować ekstraklasę dla Śląska i całego Wrocławia. Zachęcam kibiców do wsparcia, nic nie jest jeszcze stracone.

Jeżeli misja Simundzy zakończy się fiaskiem, Słoweniec nie powinien mieć żadnych złudzeń. Kibice Śląska pożegnają go na pewno lodowatym głosem, który zmroziłby nawet niedźwiedzia polarnego.

Przewrót pałacowy

To podobno kwestia dni, gdy właścicielem „Dumy Pomorza" zostanie kanadyjski biznesmen pochodzenia irańskiego, Alex Haditaghi.

POGOŃ SZCZECIN

Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że lada moment w „Dumie Pomorza" dojdzie do „przewrotu pałacowego", polegającego na zmianie właściciela klubu. Wszystkich kąpanych w gorącej wodzie uspokajam, że będzie to bezkrwawa rewolucja. Nowym właścicielem Pogoni ma zostać kanadyjski biznesmen pochodzenia irańskiego, Alex Haditaghi.



Kamil Grosicki (na pierwszym planie) i jego koledzy wkrótce będą mieli nowego właściciela.

Przedświąteczna ofensywa

Haditaghi przed świętami Bożego Narodzenia przyleciał do Szczecina i wraz z Tanem Keslerem rozmawiał o przejęciu udziałów w klubie. Według nieoficjalnych informacji temat przejęcia Pogoni przez nowych inwestorów jest bliski finalizacji. Sprawa jest na bardzo zaawansowanym etapie, można powiedzieć, że dogadywane są ostatnie szczegóły. Tak wynika ze źródeł zbliżonych do klubu.

Kanadyjski biznesmen wypracował nowe porozumienia z większością podmiotów, wobec których Pogoń Szczecin ma zobowiązania finansowe. Jak przyznawał wcześniej Haditaghi, to siedmiu kredytodawców. Chodziło o to, aby te zobowiązania nie były egzekwowane już teraz, bo to jeszcze bardziej zdestabilizowałoby kruchą sytuację finansową szczecińskiego klubu, który zalega z wypłatą pensji swoim pracownikom, piłkarzy nie wyłączając. Wszystko wskazuje na to, że zwyciężyła opcja forsowana przez Kanadyjczyka, aby przejął on większościowy pakiet akcji. Ostatecznie tak właśnie ma być – 90 procent akcji powinno trafić w ręce Haditaghiego, zaraz potem Pogoń ma ruszyć na zakupy, by pozyskać trzech-czterech piłkarzy, którzy wzmocniliby „Portowców" jeszcze tej zimy.

Jeden problem

Plany i wizja Haditaghiego są bardzo czytelne. „Duma Pomorza" ma być silna nie tylko w PKO BP Ekstraklasie, ma również pokazać się z dobrej strony w Europie. Zamiast sprzedawać zawodników, ma teraz ich kupować. W Szczecinie można usłyszeć opinie, że obecnie jest jeszcze tylko jedna kwestia do rozwiązania i unormowana. Chodzi o porozumienie z Fabryką Papieru Kaczory w sprawie istniejących zobowiązań ze strony klubu względem tego podmiotu. Takie są najnowsze ustalenia między stronami, ale Haditaghi nie chciał oficjalnie, ani nawet nieoficjalnie niczego komentować.

„Wylewny" prezes

W poniedziałek, 23 grudnia, prezes Pogoni Jarosław Mroczek (piastuje tę funkcję od 1 lutego 2011 r.) na platformie X nie pozostawił żadnych wątpliwości, że klub ze Szczecina przejdzie w inne ręce. 69-letni działacz tego dnia złożył kibicom świąteczne życzenia i przy okazji odniósł się do medialnych informacji. „Drodzy kibice, Przyjaciele Pogoni Szczecin, jutro Wigilia, czas składania życzeń. Pozwólcie więc, że tą drogą życzyć Wam będę spełnienia marzeń, które przynajmniej w jednej sprawie mamy na pewno identyczne. Nadchodząca nieunikniona zmiana będzie bardzo temu sprzyjać" – napisał sternik „Portowców". Czy wszystko już jasne?

Pogoń Szczecin jest klubem z tradycjami, ale bez – powiedzmy to sobie szczerze – spektakularnych sukcesów sportowych. Po latach rozwoju – finansowego i sportowego – przed rokiem działacze „Dumy Pomorza" poinformowali, że klub ma długi. Padły rozmaite kwoty, od 30 do 50 milionów złotych. Prezes klubu Jarosław Mroczek uspokajał, że „sytuacja jest trudna, ale nie beznadziejna". Potem przyznał, że za sezon 2022/23 klub poniósł stratę w wysokości 27,49 mln zł. I wyjaśnił, skąd wziął się tak słaby wynik finansowy, ale dla kibiców marna to była pociecha. Jeżeli teraz koła ratunkowego nie rzuci „Portowcom" Haditaghi, to strach się bać.

Bogdan Nather

KRÓTKA PIŁKA

Z dyrektora – doradca

■ Jacek Zieliński z końcem roku przestanie pełnić funkcję dyrektora sportowego w Legii Warszawa. 57-latek nie został jednak z klubu wyrzucony, bo zostanie doradcą zarządu ds. sportowych. Były reprezentacyjny obrońca funkcję dyrektora sprawował od grudnia 2021 roku. Choć oficjalnie Legia nie podała powodu przesunięcia Zielińskiego na inne stanowisko, nie trudno oprzeć się wrażeniu, że jest to pokłosie nie najlepszych ruchów transferowych minionego lata.

Czas pożegnania

■ Piłkarz Lechii Conrado poinformował za pośrednictwem mediów społecznościowych, że odchodzi z gdańskiego klubu. Nie jest to niespodzianka, ponieważ w mediach informacja ta krążyła od kilku tygodni. Jeszcze 4 grudnia klub wydał specjalne oświadczenie, w którym przekazano, że kontrakt Brazylijczyka wciąż jest ważny i nie został rozwiązany z winy klubu. Tymczasem od tego momentu Conrado nie wystąpił w ani jednym meczu, a teraz oficjalnie zakończył współpracę z biało-zielonymi. W Lechii występował od 2020 roku. W tym czasie rozegrał 108 meczów w ekstraklasie i 10 w I lidze.

Nowa umowa

■ Dawid Kurminowski, snajper Zagłębia Lubin, przedłużył kontrakt z „Miedziowymi". Od teraz zawodnika obowiązywać będzie kontrakt ważny do czerwca 2027 roku. Napastnik w bieżącym sezonie zagrał w 10 spotkaniach na najwyższym szczeblu rozgrywkowym, w których zdobył jednego gola. Więcej trafień zanotował w Pucharze Polski – w przegranym meczu z Pogonią Szczecin 3:4 zdobył dwie bramki.

Sport 138d7f84ae

Zabrakło kropki nad „i”

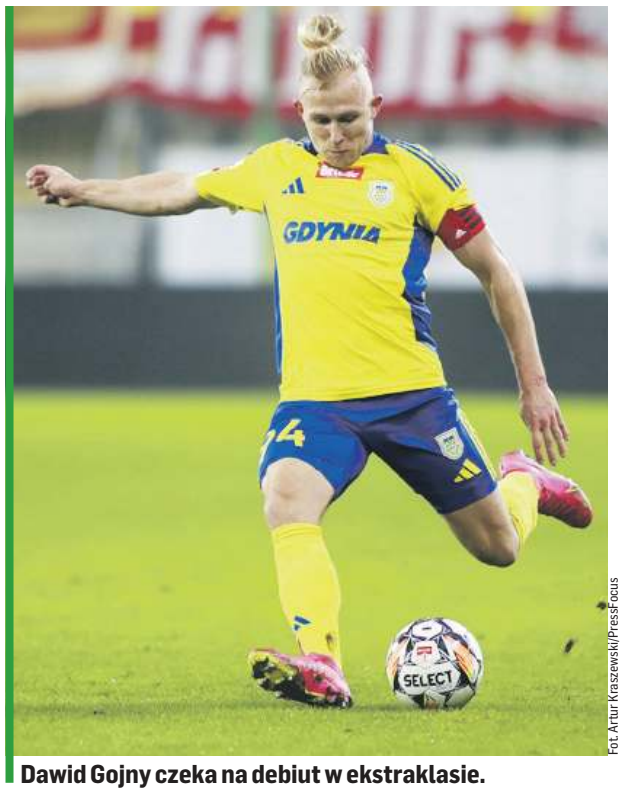
Rozmowa z **Dawidem Gojnym**, piłkarzem Arki Gdynia

Jak ocenia pan kończący się rok 2024 od strony piłkarskiej?

– Patrząc na statystyki, mógłbym być zadowolony, ale w sumie czuję wielki niedosyt. Przypomnę tylko, że w rundzie wiosennej w 11 meczach, w których grałem, Arka odniosła sześć zwycięstw, zanotowała cztery remisy i tylko raz zeszła z boiska pokonana. Gdy 3 maja, czyli 10 dni przed moimi 30. urodzinami, doznałem kontuzji, która wyeliminowała mnie z gry do końca poprzedniego sezonu, nasz zespół, był na drugim miejscu. Na trzy kolejki przed końcem sezonu mieliśmy sześć punktów przewagi nad GKS-em Katowice. Ostatecznie to jednak katowiczanie po zwycięstwie 1:0 w ostatniej kolejce w Gdyni razem z Lechią Gdańsk, z którą przegraliśmy w przedostatniej kolejce, awansowali bezpośrednio do ekstraklasy. My w finale baraży ponownie na swoim boisku przegraliśmy z Motorem, prowadząc 1:0 do 87 minuty. Patrzenie z boku na to, co się stało wtedy na boisku, bolało podwójnie... Także w ostatnim akordzie tego roku pojawił się smutek, grając w mistrzostwach Śląska w siatkonodze w Goczałkowicach-Zdroju razem z Krzyśkiem Markowskim. Jako obrońcy tytułu doszliśmy do finału, pokazując sporo fajnych akcji, ale w ostatnim meczu przegraliśmy. Ten jeden występ, który nam nie do końca wyszedł, sprawił, że „spadliśmy” z tronu.

A co było pozytywne?

– Na pewno dużo dobrych spotkań. Ich efektem jest także to, że Arka „zimuje” na drugim miejscu w tabeli I ligi, mając 12 zwycięstw, cztery remisy i trzy porażki, a ja po powrocie do zdrowia, które dopisywało przez całe drugie pół roku, rozegrałem wszystkie spotkania ligowe od pierwszej do ostatniej minuty. Można więc powiedzieć, że choć lato było bolesne, a start nowego sezonu trudny, to w sumie wykonaliśmy jesienią dobrą robotę i liczymy, że w 2025


Fot. Artur Kraszewski/PressFocus

Dawid Gojny czeka na debiut w ekstraklasie.

roku, bogatsi o tegoroczne doświadczenia, wywalczymy awans do ekstraklasy. Chciałbym już jako piłkarz ekstraklasy za rok znowu przyjechać do Goczałkowic na turniej siatkonogi i odzyskać tytuł mistrza Śląska.

Które ze spotkań ligowych z 2024 roku najbardziej utkwiło panu w pamięci?

– Te, w których nie grałem, czyli porażki z Lechią, GKS-em Katowice i Motorem na finiszu poprzedniego sezonu. Remis w Gdańsku dawał nam awans, a grając o jednego więcej od 32 minuty, daliśmy się trafić w końcówce. To była moja najgorsza chwila sezonu, bo choć nie grałem, to byłem częścią drużyny, która straciła wielką szansę awansu do ekstraklasy. Nie mogłem pomóc kolegom i to było straszne. Natomiast z meczów, w których grałem, najmilej wspominam zwycięstwo 6:0 w Opolu czy 5:0 z Kotwicą, bo to fajne wyniki, a także 2:1 z Pogonią Siedlce, bo strzeliłem gola na 1:0 i była to jedyna moja bramka w tym roku.

Z którym z trenerów Arki lepiej się panu współpracowało?

– Z Wojciechem Łobodzińskim w poprzednim sezonie wykonaliśmy naprawdę dobrą pracę. Po jego zwolnieniu na początku tego sezonu pod wodzą Tomasza Grzegorczyka też pokazaliśmy klasę i mam nadzieję, że z Dawidem Szwargą dalej pójdziemy tą drogą do ekstraklasy, bo to jest mój cel. Przekroczyłem już trzydziestkę, a ciągle nie mam debiutu na najwyższym szczeblu rozgrywek. W I lidze, w której gram już ósmy sezon, przekroczyłem granicę 200 spotkań, więc czas na następny krok.

Gdzie spędził pan święta Bożego Narodzenia?

– Tradycyjnie na Śląsku, a dokładniej w Wodzisławiu z rodziną. Po ostatnim meczu prosto z Łodzi dotarliśmy z rodziną do naszych najbliższych. Wigilia u teściowej, a pierwszy i drugi dzień świąt jeździliśmy po moich rodzicach, babciach i ciociach, nadrabiając czas rozłąki. Jest też okazja pochwalić się nowym „członkiem rodziny”, bo... kupiliśmy psa. Nasz cavalier wabi się Łatka. Przez rok się opierałem, ale w końcu uległem rodzinie i przed Wigilią dołączył do nas. Ma śląski rodowód, ale pojedzie z nami nad morze. Mam też nadzieję, że zabiorę ze sobą spod choinki... zdrowie, bo to jest dla mnie najważniejszy prezent.

Rozmawiał Jerzy Dusik

Z Żor do… Barcelony!

Za kilkanaście dni 15-letnia Zofia Burzan wyjeżdża na tygodniowy sprawdzian do jednego z najlepszych klubów na świecie.

Sportowo Żory w ostatnich latach kojarzyły się ze świetną sprinterką Ewą Swobodą, która pochodzi z tego 60-tysięcznego miasta. Być może wkrótce się to zmieni.

Nie widział takiego dziecka

Młodziutka piłkarka (rocznik 2009) Zofia Burzan przebojem zaczyna wchodzić na ligowe boiska. Półtora roku temu przeszła z MKS-u Żory do Czarnych Sosnowiec. Na początku tego sezonu, w meczu trzeciej kolejki, dostała szansę debiutu w Orlen Ekstralidze przeciwko Stomilankom Olsztyn. Zaraz po wejściu na boisko strzeliła gola, zostając najmłodszą w historii sosnowieckiego klubu zdobywczynią bramki w najwyższej klasie rozgrywkowej. Burzan wystąpiła również w czterech spotkaniach Czarnych II Sosnowiec, a ze Ślęzą Wrocław wpisała się na listę strzelczyń. Ma za sobą również występy w Orlen Pucharze Polski (w barwach rezerw Czarnych) i w Centralnej Lidze Juniorek U-18.

– Takie dzieci, jak ona, rzadko się spotyka – mówi Paweł Rybica, trener MKS-u Żory, który prowadził ją przez siedem lat, zanim po ósmej klasie zdecydowała się na przejście do Czarnych. – Oprócz tego, że jest niesamowicie uzdolniona, to jest to typ... robota. To pracuś! Jak ma wolną chwilę, to dzwoni i pyta: „Trenerze, potrenujemy trochę?”. Tak było i teraz, właśnie co skończyliśmy półtoragodzinny trening – podkreśla żorski szkoleniowiec.

W Sosnowcu Burzan jest już od półtora roku i dalej czyni stały progres. Nie bierze się to znikąd, wszystko poparte jest pracą. W Czarnych dwa razy w tygodniu trenuje z pierwszą drużyną wicelidera ekstraligi, a dwa razy z juniorkami. To wyzwanie dla nastolatki, bo przecież z Żor do Sosnowca nie jest blisko, to około 60 kilometrów. Do tego Burzan uczy się w Liceum Ogólnokształcącym im. Karola Miarki w Żorach, a nauki nie brakuje.

– Zosia, zanim trafiła do MKS-u, była u Rafała Woźnego w Football Academy. Zaczęła szybko, bo ma o dwa lata starszego brata, który też grał w piłkę. Jak Franek przychodził do czwartej klasy, to trafiła do nas w drugiej klasie podstawówki. W Football Academy zaczęła, jak miała cztery czy pięć lat – wspomina trener Rybica.

Pójdzie w ślady Glika?

Do Barcelony wyjeżdża na tygodniowe testy 11 stycznia. Będzie trenowała w słynnej La Masii z zespołem Barcelony Femeni „C”. W pierwszej drużynie katalońskiego zespołu z powodzeniem występuje najlepsza polska piłkarka Ewa Pajor. W drużynie rezerw są dwie inne nasze zawodniczki – Emilia Szymczak (rocznik 2006) oraz Weronika Arasiewicz (rocznik 2008, kapitan reprezentacji do lat 17).

Dodajmy, że przed laty, w okresie 2007-08 w Realu Madryt podobną drogą szła trójka młodych wtedy chłopaków z WSP Wodzisław: Krzysztof Król, Kamil Glik i Szymon Matuszek. Pierwszy był w rezerwowym zespole Real Castilla, a pozostała dwójka w drużynie C „Królewskich”. Różnie poukładały się potem losy Króla, Glika i Matuszka, ale jeden z nich stał się legendą nie tylko polskiego futbolu.

Burzan o tyle będzie w La Masii łatwiej, że zna dobrze z kadry Polski juniorek Arasiewicz. Obie zawodniczki, jak mówi trener Rybica, są w stałym kontakcie. Na jakiej pozycji Burzan występuje? – U nas grała na pozycji numer 10. W młodzieżowych kadrach czy w Czarnych, to pozycja „8” i „6”. Ma dobre rozegranie, gra prawą i lewą nogą, jest w stanie zagrać crossa na 50 metrów. Zawsze miała niesamowite uderzenie, a przede wszystkim to pracuś. Podam taki przykład – mieliśmy rano trening w szkole, a ona jeszcze potem sama od siebie wychodziła z inicjatywą, że po południu jeszcze przyjdzie dodatkowo – tłumaczy trener Rybica.

Barcelona Femeni to jeden z najlepszych żeńskich klubów na świecie, który od 2020 r. nie ma sobie równych nie tylko na hiszpańskich boiskach, zdobywając w tym czasie rok po roku mistrzostwo kraju, Copa de la Reina, a także wygrywając raz za


Fot. Akademia MKS Czarni Sosnowiec

Zofia Burzan 11 stycznia wyjeżdża na tygodniowe testy do samej Barcelony.

razem w kobiecej Champions League – 2021, 2023, 2024. Jak młodziutka Polka została zauważona przez słynny klub? – Przez zagranicznych menedżerów w reprezentacji U-15 i U-17. Takie mecze reprezentacji to okno na świat. Życzę jej jak najlepiej. Nie widziałem takiego dziecka jak ona wcześniej i nie wiem, czy jeszcze zobaczę. Wzór profesjonalizmu. Mówiłem, żeby się samemu rozciągać, to niejeden chłopak puścił to koło ucha, a ona ćwiczyła i po pół roku widać było progres. Na Orlikach w Żorach wszyscy ją znają, bo gra z pięciolatkami, 10-latkami, 30-latkami i 50-latkami. Wiecznie siedzi na boisku. Oby się udało i przede wszystkim, żeby było zdrowie, bo to jest najważniejsze. Dziewczyna ma charakter, jak ominą ją kontuzje, to nie mam wątpliwości, że sobie poradzi – podkreśla trener Rybica.

Michał Zichlarz

Mógł wygrać Boniek

Odwołanie plebiscytu na Piłkarza Roku „Sportu" w 1980 r. miało drugie dno, niekoniecznie związane tylko z „aferą na Okęciu".


Opinia PZPN jednoznaczna

BEZ POBŁAŻANIA!

Młynarczyk, Boniek, Żmuda i Terlecki zawieszeni w prawach zawodników i wracają do kraju

Sportowe FORUM

Trener sztangistów - Franciszek Benedik:

O konkretach z pesymizmem

Sport

2 grudnia 1980 Nr 212 (5823) Rok XXXVI

WTOREK CENA 2 zł

Co dalej z reprezentacją?

Plebiscytu na piłkarza roku nie będzie...

Tylko raz plebiscyt na Piłkarza Roku „Sportu" się nie odbył, Było to w 1980 roku. Dlaczego?

Jeszcze trwa głosowanie na Piłkarza Roku „Sportu" Anno Domini 2024. 31 grudnia poznamy wyniki challenge'u, który prowadzimy od 1966 roku. Wtedy wygrał Zygmunt Anczok. Tylko raz w tym czasie, w 1980 r., nasza gazeta nie zdecydowała się na przeprowadzenie plebiscytu. Dlaczego? Wszyscy wskakują na „aferę na Okęciu" (koniec listopada – początek grudnia 1980), ale sprawa ma szerszy kontekst…


Fot. Press Focus / Rafał Rusek

Zbigniew Boniek i Józef Młynarczyk – dwaj przyjaciele nie tylko z boiska.

Szczekanie na... dziennikarzy!

Lata 1980-81 to szczególny okres w historii Polski. Gospodarczy kryzys spowodował kolejne w PRL-u wybuchy społeczne i narodziny ruchu społecznego „Solidarność", do którego w apogeum należało aż 10 milionów osób. W tym czasie mamy do czynienia z karnawałem „Solidarności". Zelżała cenzura, ludzie mówili i pisali, co chcieli, a nie jak im kazała partia. Wszystko miało swoje przełożenia na inne dziedziny życia, w tym na sport, a zatem także piłkę nożną.

Po mundialu w Argentynie drużynę narodową przejął Ryszard Kulesza. Trener lubiany przez piłkarzy, kibiców i dziennikarzy, którzy razem z kadrą latali wtedy tym samym samolotem na mecze. Niewiele zabrakło, żeby Biało-czerwoni pod wodzą Kuleszy po raz pierwszy awansowali do finałów mistrzostw Europy. Przed ostatnim meczem w eliminacjach ME '80 z Holandią w Amsterdamie, w październiku 1979 r., sytuacja była taka, że wygrywając, awansujemy. Mimo że „Oranje" byli wicemistrzem świata, z wieloma wspaniałymi graczami w składzie jak Krol, Brandt, Jansen, Rep czy Tahamata, do przerwy byliśmy na Euro, bo prowadziliśmy po kapitalnym uderzeniu Wojciecha Rudego (został najlepszym Piłkarzem Roku „Sportu" w 1979). Niestety, w 65 minucie wyrównał Huub Stevens i po remisie Holandia wyprzedziła nas w grupie o punkt…

Tymczasem w drodze powrotnej z Amsterdamu doszło do nieprzyjemnego incydentu. Odwołajmy się do słów świetnego dziennikarza Romana Hurkowskiego, przez lata związanego z tygodnikiem „Piłka Nożna". „W samolocie – podczas powrotu do Warszawy – grupka kadrowiczów zabawiała się... szczekaniem na dziennikarzy, których Jacek Gmoch przy każdej okazji nazywał „szakalami". Znudzeni zawodnicy przypomnieli sobie to określenie i... Zbigniew Boniek oraz Stanisław Terlecki zostali zdyskwalifikowani przez PZPN na pół roku, a Grzegorz Lato i Antoni Szymanowski – na trzy miesiące".

Był nietrzeźwy...

Celowo przypominamy tę sprawę, bo kiedy niewiele ponad rok później wybuchła „afera na Okęciu", to odwołujący plebiscyt na Piłkarza Roku „Sport" od razu nawiązał do tego, co było w Amsterdamie. Liga skończyła wtedy granie 23 listopada 1980 r., a na piątek 28 tego miesiąca selekcjoner Kulesza wyznaczył zgrupowanie przed pierwszym meczem w eliminacjach MŚ z Maltą, przeciwko której na wyjeździe Biało-czerwoni zagrali 7 grudnia. Kadrowicze mieli się pojawić w warszawskim hotelu „Vera", żeby dzień później odlecieć do Włoch. Tam zaplanowany był mecz kontrolny z Perrugią i ostateczny szlif formy. Może trener Kulesza popełnił błąd, że zamiast być w hotelu, to na lotnisko przyjechał ze swojego warszawskiego mieszkania. Piłkarze wykorzystali sytuację i ruszyli w miasto…

„W sobotę przed szóstą rano trenera obudził kierownik drużyny narodowej, oświadczając, iż przed kilkunastoma minutami wrócił do hotelu Józef Młynarczyk i, delikatnie mówiąc, jest nietrzeźwy. Ryszard Kulesza udał się niebawem na lotnisko z decyzją, że bramkarz Widzewa nie poleci do Italii.

– Kierownictwo ekipy i ja – mówi sekretarz generalny PZPN-u Zbigniew Kaliński – byliśmy tego samego zdania. Część zawodników zaprotestowała przeciwko takiemu postawieniu sprawy, oznajmiając, że jeśli Młynarczyk nie poleci, to oni też zostaną w kraju. Zbliżała się pora odlotu, a piłkarze nie kwapili się z przystąpieniem do odprawy. Cóż, ulegliśmy presji zawodników, kierując się wyłącznie wyrachowaniem" – relacjonował „Sport".

Rozdmuchana afera?

W obronie Młynarczyka stanęli jego najbliżsi koledzy – Zbigniew Boniek, Władysław Żmuda i Stanisław Terlecki. Wszyscy polecieli do Włoch, ale zaraz stamtąd zostali odwołani i musieli wracać do kraju, a „Sport" w poniedziałek 1 grudnia 1980 r. na pierwszej stronie pisał: „Porażka na starcie eliminacji Espana-82". „Rokosz piłkarzy na Okęciu. GKKFiS: Młynarczyk wraca do kraju!".

Dzień później, we wtorek 2 grudnia 1980, „Sport" na pierwszej stronie poinformował, że „Plebiscytu na piłkarza roku nie będzie…".

„W sobotę wieczorem dzięki relacji TV obejrzeliśmy jeszcze raz sceny z życia piłkarskiej reprezentacji Polski. Najpierw na ułamek sekundy zaserwowano nam niewyraźną twarz Józefa Młynarczyka, potem dotarły do nas strzępy ostrej wymiany zdań i wreszcie na scenę wkroczył aktor przyzwyczajony wyłącznie do ról głównych: – Weź pan ten mikrofon" – pisał „Sport" i proponował zamiast plebiscytu dyskusję na temat… co dalej z reprezentacją.

Dla prasy czas komunistyczny nie skończył się z karnawałem „Solidarności". Wielu tłumaczyło potem rozdmuchaną do granic aferę odwróceniem przez władze tego, co działo się w kraju, a nie działo się dobrze, bo choćby przed świętami półki sklepowe dalej były puste. Tzw. bandę czworga przykładowo ukarano, dodatkowo selekcjoner stracił pracę.

„Zibi", Iwan, Ogaza i inni

co z najlepszymi piłkarzami w 1980? Kto mógłby wtedy wygrać? Mistrzem Polski były sensacyjne Szombierki Bytom ze swoim liderem Romanem Ogazą. Królem strzelców rozgrywek 1979/80 z 24 trafieniami był Kazimierz Kmiecik, a klasyfikację „Złotych Butów" wygrał Piotr Mowlik z Lecha, który zastąpił zresztą Młynarczyka w meczu z Maltą. Był to też rekordowy rok reprezentacji, która zagrała aż 18 razy! Bilans to siedem wygranych, cztery remisy i siedem porażek, bramki 28:21. Aż dziewięć z nich zdobył Andrzej Iwan, który trafił m.in. dwa razy w wygranym 2:1 spotkaniu z Hiszpanią w Barcelonie 12 listopada 1980. Ważny byłby tutaj też „XII plebiscyt dziennikarzy na piłkarza jesieni". Jak wyglądała pierwsza dziesiątka? 1. Zbigniew Boniek (Widzew) 244 pkt, 2. Józef Młynarczyk (Widzew) 240, 3. Piotr Skrobowski (Wisła Kraków) 180, 4. Andrzej Iwan (Wisła) 168, 5. Władysław Żmuda (Widzew) 151, 6. Włodzimierz Smolarek (Widzew) 99, 7. Andrzej Szarmach (Stal Mielec) 69,5, 8. Marek Dziuba (ŁKS) 63, 9. Krzysztof Adamczyk (Legia) 45, 10. Włodzimierz Ciołek (Stal) 37 pkt. Najbliżej pierwszej dziesiątki byli Marek Pięta (Widzew) 29 pkt i Piotr Mowlik (Lech) 21 pkt. Dodajmy, że Widzew z Bońkiem, „głównym aktorem", był wtedy w drodze do zdobycia swojego pierwszego mistrzostwa Polski. I wydaje się, że to właśnie „Zibi" – gdyby nie ta nieszczęsna afera – zostałby Piłkarzem Roku „Sportu", w którym triumfował tylko raz, w 1978 roku. Po mundialu w Hiszpanii Czytelnicy naszej gazety na najlepszego piłkarza wybrali Andrzeja Buncola.

Michał Zichlarz

Wybierz piłkarza roku!

Plebiscyt na najlepszego zawodnika 2024 roku

Przypominamy, że trwa głosowanie w plebiscycie Piłkarza Roku „Sportu" 2024. Będzie ono trwało do 30 grudnia do godziny 9.00, a wyniki zostaną ogłoszone w ostatnim tegorocznym numerze, czyli 31 grudnia. O tym, kto zostanie wybrany, decydujecie właśnie Wy, Drodzy Czytelnicy!

Należy pamiętać, że głosy można oddawać w aplikacji „Sportu", po wejściu w zakładkę „Piłkarz roku" widoczną na górze. Każdy użytkownik ma jeden głos, ale nie każdy głos ma taką samą wagę. Do jego oddania potrzebne jest założenie konta i zalogowanie się, natomiast głosy użytkowników z opłaconym abonamentem ważą dziesięciokrotnie więcej! Wybierać można spośród 20 kandydatów wytypowanych przez redakcję „Sportu". Wyniki plebiscytu są podawane na bieżąco w zestawieniu procentowym. Czytelnicy, którzy wezmą udział w plebiscycie, mogą liczyć na nagrody. Wśród nich znajduje się darmowy kwartalny dostęp do naszej cyfrowej gazety lub książki Jerzego Chromika „Remanent 5".



Sport 138d7f84ae

Kolędy i obciachowe swetry



Magiczny klimat na stadionie Borussii Dortmund.

Już od wielu lat niemieckie kluby mają swoje bożonarodzeniowe tradycje, cieszące się niesłabnącą popularnością wśród kibiców.

NIEMCY

Tamtejszy kibic piłkarski jest dość konserwatywny, którego trudno przekonać do jakichś głębszych zmian. Mimo tego od – jak się szacuje – 2018 roku w ich mentalność wkradła się odrobina amerykańskiego komercjalizmu. Bundesliga oszalała bowiem na punkcie świątecznych... „brzydkich swetrów", obchodząc nawet coroczny dzień swetra bożonarodzeniowego.

Zaczęło się skromnie

W tym roku taki dzień przypadł na 20 grudnia, bo zwyczajowo mowa o trzecim piątku dwunastego miesiąca. To moment, w którym kibice klubów Bundesligi (i nie tylko) wyciągają swoje dziergane pulowery i paradują w nich tam, gdzie się da – także na stadionach, choć w tym przypadku akurat liga skończyła już granie. O jakie właściwie swetry chodzi? Każdy pewnie orientuje się, jak wygląda tego typu ciuszek, przeładowany świątecznymi motywami, reniferami, śnieżynkami i tym podobnymi. „Nordkurier", który poświęcił tej tematyce osobny artykuł, wskazuje, że moda na takie odzienia została zapoczątkowana w latach 50. XX wieku, głównie w Wielkiej Brytanii i – oczywiście – USA. Początkowo swetry były dość skromne, często robione ręcznie, z najprostszymi motywami świąteczno-zimowymi. Największa fala popularności przyszła w latach 80., ale i w późniejszym czasie pojawiały się kolejne wybuchy szaleństwa na tym punkcie. Trend ten dotarł też do Niemiec, a kluby Bundesligi stwierdziły, że również staną się jego elementem.

Który bardziej obciachowy?

Co roku kibice wyczekują swetrowej propozycji swojej ulubionej drużyny i zastanawiają się, kto tym razem będzie miał... najbrzydszy sweter. Tego typu pulowery uznawane są bowiem za dość... obciachowe, ale w tej swojej obciachowości właśnie znalazły siłę, która sprawiła, że kibice pokochali je. W niemieckich mediach nie brakuje przeglądu świątecznych swetrów, rankingów czy głosowań z jakże charakterystycznym pytaniem: „kto w tym roku ma najbrzydszy sweter?". Co ciekawe... każdy chce taki swetrowy laur posiąść! Kluby promują swoje propozycje, jak mogą, ubierają w nie piłkarzy, nagrywają śmieszne filmiki itp. Swetrów Borussii Dortmund już dawno nie można kupić. Wyprzedały się w mgnieniu oka. Przykłady – tegoroczne i ciut starsze – można zobaczyć na końcu tego artykułu.

Oczywiście odzież w podobnych klimatach miewają czasem w swoich asortymentach kluby polskie, lecz nie cieszy się ona podobnym zainteresowaniem, nie można mówić o tradycji, a często... nie ma w nich niczego wyjątkowego.

Włamanie na stadion

Jednakże czym byłyby Święta Bożego Narodzenia bez kolęd? Tym bardziej że tak jak mnóstwo zwyczajów bożonarodzeniowych pochodzi z Niemiec (np. choinka), tak i nasi zachodni sąsiedzi spopularyzowali wiele kolęd. Dlatego też od lat na niemieckich stadionach organizowane jest wspólne kolędowanie. Przykładowo, 8 grudnia w Dortmundzie na stadion Borussii przyszło 70 tysięcy kibiców, by wspólnie pośpiewać – a nie była to impreza darmowa! Trzeba było kupić sobie bilet, a komplet sprzedał się... w trzy godziny. Na podobne spotkania można było natrafić w całych Niemczech, nie brakuje na nich gwiazd zarówno tych piłkarskich, jak i muzycznych, a wszystko jest pięknie opakowane.

Najciekawsze jednak jest to, że mowa o zwyczaju zapoczątkowanym w 2003 r. przez Union Berlin. Jak wiadomo – w przeciwieństwie np. do stołecznej Herthy – Union to klub z dawnego Berlina Wschodniego, pamiętającego Niemiecką Republikę Demokratyczną. Dzisiejsze tereny byłych Niemiec Wschodnich od części zachodniej odróżniają się tym, że wskutek komunistycznej indoktrynacji dominuje tam ateizm. Mimo tego 21 lat temu to właśnie 89 członków jednego z fanklubów Unionu wkradło się na stadion swojego klubu przez uchyloną bramę i w mocno wietrznej atmosferze, przy ciastkach i grzanym winie, postanowiło sobie pośpiewać. Rok później impreza stała się już oficjalna, a dziś cieszy się takim zainteresowaniem, że władze klubu muszą losować bilety pośród wielotysięcznego grona członków, bo nie ma miejsca, by ugościć wszystkich chętnych.

Piotr Tubacki

Strach o Fabiańskiego

Poważne zderzenie w Boxing Day zaliczył Łukasz Fabiański, który w meczu z Southamptonem został zniesiony z boiska.

ANGLIA

West Ham pojechał po trzy punkty na teren ostatniego w Premier League Southamptonu. Kapitanem gospodarzy po raz drugi z rzędu był Jan Bednarek, korzystający z nieobecności Jacka Stephensa. Na jego nieszczęście „Święci" zgodnie z przewidywaniami ulegli „Młotom", choć skromnie, bo 0:1 po golu Jarroda Bowena.

Obawiał się najgorszego

Jednym z ważniejszych momentów spotkania była jednak nie bramka, ale kontuzja Łukasza Fabiańskiego. 39-letni Polak od października jest numerem jeden między słupkami West Hamu, skąd wygryzł Alphonso Areolę. Wczoraj nie dograł jednak meczu, opuszczając murawę na noszach w 36 min, co było efektem ciężkiego zderzenia z Nathanem Woodem. „Fabianowi" musiał pomóc sztab medyczny, został mu podany tlen, a przejęty jego sytuacją był nawet bramkarz „Świętych", Aaron Ramsdale, który przebiegł całe boisko, by sprawdzić, co z jego vis-a-vis (w końcu obaj mają w CV Arsenal). Fabiańskiego zastąpił Areola, utrzymując czyste konto do końca. Polski golkiper nie został zabrany do szpitala, lecz opatrzony na St Mary's Stadium, ale sytuacja najwyraźniej daleka była od krytycznej, bo w końcówce wrócił na ławkę rezerwowych i obejrzał mecz do ostatniego gwizdka. O całym zajściu wypowiedział się trener West Hamu, Julen Lopetegui. – Na szczęście w szatni był przytomny, rozmawiałem z nim. Lekarz powiedział, że czuje się dobrze, a może nawet... lepiej. Jestem nastawiony optymistycznie, pokazał, że w znacznym stopniu odzyskał zmysły. Kiedy to się stało, bardzo się bałem i obawiałem najgorszego. Byliśmy naprawdę zaniepokojeni.

1. Liverpool	16	39	37:16
2. Chelsea	18	35	38:21
3. Nottingham	18	34	24:19
4. Arsenal	17	33	34:16
5. Newcastle	18	29	30:21
6. Bournemouth	18	29	27:21
7. Man. City	18	28	30:26
8. Fulham	18	28	26:23
9. Aston Villa	18	28	26:29
10. Brighton	17	25	27:26
11. Tottenham	18	23	39:26
12. Brentford	17	23	32:32
13. West Ham	18	23	23:30
14. Man. Utd	18	22	21:24
15. Everton	17	17	15:22
16. Crystal Palace	18	17	18:26
17. Wolverhampton	18	15	29:40
18. Leicester	17	14	21:37
19. Ipswich	17	12	16:32
20. Southampton	18	6	11:37

1-4 – LM, 5 – LE, 18-20 – spadek

Słabe Manchestery

Poza tym angielskie Dzieciątko najwyraźniej zabawiło się w Robin Hooda – chętnie odbierało bogatym, by dawać biednym. Manchester City nadal się nie przełamał i tylko zremisował z solidnym Evertonem. Szczytem beznadziei i rozpaczy „Obywateli" był rzut karny, którego zmarnował Erling Haaland, jednak zdobywając kilka sekund później bramkę, ale ze... spalonego. Chelsea przegrała w derbach Londynu z Fulhamem, tracąc gola w 95 min, a Aston Villa (z Mattym Cashem w pierwszym składzie) zebrała cięgi 0:3 od Newcastle. Ze strefy spadkowej wykaraskał się zaś Wolverhampton, pokonując Manchester United, który prawie całą drugą połowę grał w osłabieniu po już trzeciej w tym sezonie „czerwieni" Bruno Fernandesa!



Cały stadion bał się o zdrowie polskiego bramkarza, nawet jego vis-a-vis z drugiej bramki, Aaron Ramsdale (nr 30).

Fot. IMAGO/PressFocus

■ **Manchester City – Everton 1:1 (1:1)**
1:0 – Silva (14), 1:1 – Ndiaye (36)
CITY: Ortega – Lewis, Akanji, Ake (85. Simpson-Pusey), Gvardiol – Kovacić (85. Guendogan) – Savinho, Foden, Silva, Doku (75. De Bruyne) – Haaland.
EVERTON: Pickford – Coleman (90. Patterson), Tarkowski, Branthwaite, Mykolenko – Mangala, Gueye, Doucoure – Harrison, Calvert-Levin (70. Broja), Ndiaye (81. Lindstroem).

■ **Chelsea – Fulham 1:2 (1:0)**
1:0 – Palmer (16), 1:1 – Wilson (82), 1:2 – Muniz (90+5)

■ **Newcastle United – Aston Villa 3:0 (1:0)**

■ **Bournemouth – Crystal Palace 0:0**
1:0 – Gordon (2), 2:0 – Isak (59), 3:0 – Joelinton (90+1)

■ **Nottingham Forest – Tottenham 1:0 (1:0)**
1:0 – Elanga (28)

■ **Southampton – West Ham United 0:1 (0:0)**
0:1 – Bowen (59)

■ **Wolverhampton Wanderers – Manchester United 2:0 (0:0)**
1:0 – Cunha (58), 2:0 – Hwang (90+9)

■ Mecz **Liverpool – Leicester** zakończony po zamknięciu wydania

■ Piątek: **Brighton – Brentford** (20.30), **Arsenal – Ipswich** (21.15)

Piotr Tubacki

Sport 138d7f84ae



Wycieczka po Stamford Bridge

Fot. Kacper Janoszka

Tak Stamford Bridge prezentuje się z perspektywy murawy.

Chęć zwiedzenia stadionu wielkiego klubu jest silna. Czasem nawet wyłączająca rozsądek.

ANGLIA

Będąc w Londynie, można zobaczyć mnóstwo atrakcji. Można odwiedzić Muzeum Historii Naturalnej czy Tate Modern. Można przejść się po Tower Bridge, zobaczyć Big Bena lub wsiąść do wagonika diabelskiego młyna London Eye. Można też… zwiedzać piłkarskie stadiony. Futbolowe kluby, których w stolicy Wielkiej Brytanii nie brakuje, organizują specjalne wycieczki po stadionach. Najbardziej utytułowanym stołecznym klubem w Anglii jest Arsenal. Jest też Chelsea, która mistrzowskich tytułów ma mniej, ale jako jedyny klub z Londynu zdobywała Ligę Mistrzów (i to dwukrotnie!). To właśnie ten fakt spowodował, że będąc w Anglii na początku grudnia, wybrałem się do dzielnicy Fulham (stadion Stamford Bridge nie znajduje się w... Chelsea), żeby przeżyć niesamowite emocje.

Wzruszające Wembley

Żyłem w przekonaniu, że zwiedzanie stadionu Chelsea z przewodnikiem będzie wyjątkowe. Sądziłem, że dowiem się ciekawych historycznych faktów, które mało kto zna. Moja wiara nie była bezpodstawna. Gdy kilka lat wcześniej odwiedziłem Londyn, udałem się na stadion Wembley. Przeżyłem wówczas fenomenalną, wzruszającą wręcz przygodę, dzięki której mogłem zobaczyć, za sprawą pięknych historycznych fotografii i świetnie zorganizowanej wystawy, jak wielcy sportowcy i ludzie stąpali po tej samej podłodze co ja. Ci, którzy opiekują się grupami zwiedzających, doskonale znają każdy szczegół stadionu. Opowiadają ciekawostki związane z każdym zakątkiem areny. Do tej pory wspominana – z wszelkimi szczegółami – jest pielgrzymka Jana Pawła II z 1982 r., gdy odprawiał mszę na Wembley dla 80-tysięcznej widowni. Gdy pozwolono mi na przejście przez tunel prowadzący na murawę, czułem się, jakbym był Lionelem Messim, który wychodzi na finał Ligi Mistrzów w 2011 roku.

Kwota otwierająca oczy

Niemądre byłoby sądzenie, że takich samych fantastycznych momentów doświadczę podczas zwiedzania Stamford Bridge. Pod względem historycznym obie areny dzieli wyrwa szerokości Wielkiego Kanionu. Nie oczekiwałem więc cudów, ale chciałem chociaż poczuć namiastkę emocji, które towarzyszyły mi na Wembley, wierząc w angielską solidność. Tymczasem pierwszy cios obuchem w głowę otrzymałem już przy recepcji, gdy kupowałem bilet na wycieczkę. W Londynie oczywiście trzeba liczyć się z tym, że nie jest tanio, niezależnie od tego, na co się wydaje pieniądze, ale kwota 30 funtów za wejście na stadion (na którym nawet nie jest w tym czasie rozgrywany mecz!) jest co najmniej szokująca. Dla porównania – zwiedzanie Wembley kosztuje aktualnie 25 funtów. Dlatego cena na stadionie Chelsea z jednej strony odpychała, a z drugiej podsycała wyobrażenie o tym, jak świetna będzie to wycieczka i jak bardzo poszerzę swoją wiedzę na temat klubu. Jakże byłem naiwny…

Krzywa murawa

Wycieczka rozpoczęła się w sektorze najzagorzalszych kibiców „The Blues". Przewodnik, którego imienia niestety nie pamiętam, powiedział, że w tym miejscu się nie siedzi, tylko się stoi i kibicuje. I to właściwie tyle ze „wstrząsających" ciekawostek na pierwszym przystanku. Gdy mój znajomy, kibic Chelsea, zapytał przewodnika, skąd pochodzi metaliczny dźwięk, który słychać po zdobyciu gola przez ekipę ze Stamford Bridge w przekazie telewizyjnym (to znana wśród fanów „The Blues" ciekawostka), przewodnik-specjalista nawet nie wiedział, o co chodzi. Na Wembley – przepraszam za kolejne porównanie – przewodnik znał odpowiedź na każde pytanie, nawet... najgłupsze.

Następnie wraz z grupą udaliśmy się w stronę ławki rezerwowych. Mogliśmy usiąść na miejscu Enzo Mareski i podziwiać stadion z najniżej położonej jego części. Można było oczekiwać, że dowiemy się, który trener był najbardziej wybuchowy i nie mógł usiedzieć na miejscu. Czekałem na ciekawostkę związaną z tym, który zawodnik przesiedział na tej ławce najwięcej minut. To tylko przykłady opowiastek, o których marzyłem, żeby zostały mi zaserwowane przez przewodnika. Zamiast tego dowiedziałem się, że murawa na Stamford Bridge nie jest równa. Opada z obu stron boiska w stronę linii bocznych (najwyższy punkt znajduje się na środku), co usprawnia proces odprowadzania wody. Umówmy się – nie była to najbardziej wyszukana anegdota.

Zakaz picia alkoholu

Następnie sprawnym krokiem przeszliśmy z grupą do sali konferencyjnej. Tam – tak mogłoby się wydawać – działo się przez lata wiele. Trenerzy okazywali swoją wściekłość czy kłócili się z dziennikarzami. Niektórzy szkoleniowcy byli wybuchowi, a inni to oazy spokoju. Zakładam, że historii z konferencji prasowych można opowiedzieć multum. Tymczasem usiedliśmy na krzesłach, po czym otrzymaliśmy niezwykle cenną informację od przewodnika, że w tym miejscu… dziennikarze zadają pytania trenerom. Żeby dowiedzieć się czegokolwiek ciekawego na temat konferencji prasowych w Chelsea, musiałem dopytać przewodnika. Z racji tego, że delikatnie zasugerował, że pytania dziennikarzy często są wcześniej konsultowane z rzecznikiem prasowym, zapytałem o wyjaśnienie, w jaki sposób to działa. Dzięki temu dowiedziałem się, że w Chelsea przyjęło się, że dziennikarze dzień przed konferencją wysyłają rzecznikowi pytania. Ten akceptuje niektóre z nich i dzięki temu trener nie musi mierzyć się z kontrowersyjnymi tematami. Z ciekawości zapytałem „dlaczego?". I wtedy dopiero otrzymałem ciekawostkę, która spełniła moje wymagania. Okazuje się, że przed laty podczas konferencji prasowych na Stamford Bridge serwowano dziennikarzom alkohol. Ci, którzy wypili go zbyt dużo, mieli tendencję do zadawania nieoczywistych, często niestosownych pytań. W końcu szkoleniowiec Rafael Benitez (w Chelsea od 2012 do 2013 r.) się wkurzył. Zakazał picia alkoholu i wprowadził zasadę akceptacji pytań. Uprzedzając fakty – to najciekawsza informacja, której dowiedziałem się podczas wycieczki.

Siostra Reece'a Jamesa

Prosto z sali konferencyjnej udaliśmy się do szatni gości. Wisiały w niej były repliki koszulek piłkarzy, którzy grali na Stamford Bridge. Anegdota? Kiedyś w kranach nie było zimnej wody, a teraz już jest. Kiedyś pomieszczenie było mniejsze, ale je powiększono. Tyle. Następnie przeszliśmy do szatni gospodarzy. To pomieszczenie przez lata przesiąknęło fenomenalnymi historiami. Tymczasem dla grupowych wycieczek miejsce to służy temu, żeby reklamować kobiecą drużynę Chelsea. Dlatego w szatni obok koszulek Joao Feliksa czy Jadona Sancho powieszone są trykoty Lucy Bronze czy Millie Bright. „Kojarzycie Reece'a Jamesa? Jego siostra Lauren także gra w Chelsea" – powiedział przewodnik, zaczynając i przy okazji kończąc „serię" anegdotek związanych z szatnią gospodarzy. Proszę, nie zrozumcie mnie źle – jestem orędownikiem tego, żeby jak najbardziej promować kobiecy futbol. Nie mam z tym problemu. Problem mam jednak z tym, że zapłaciłem 30 funtów po to, żeby zobaczyć kilkadziesiąt koszulek powieszonych na ścianie.

Sezonowe flagi

Chwilę później znaleźliśmy się w tunelu i mogliśmy przy akompaniamencie przejść przez niego w stronę murawy. Odczucia, które mi towarzyszyły, nie miały wiele wspólnego z emocjami, które czułem na Wembley, choć mogła być to już oznaka zniesmaczenia całością zwiedzania. Spod murawy udaliśmy się na ostatni przystanek, którym była południowa trybuna. Z tej perspektywy znów mogliśmy popatrzeć na stadion, dowiedzieć się, gdzie jest biuro ochrony i gdzie telewizyjne stacje mają swoje studio. Na tym wycieczka się w teorii zakończyła, bo zostaliśmy wprowadzeni do sklepu, w którym można było kupić, cokolwiek się chciało. To też tam był jedyny element muzealny na całej trasie wycieczki. Chodzi o puchary, które znajdowały się za szybą. Oczywiście, robią one wrażenie, ale nie oszukujmy się – od klubu, który dwukrotnie wygrywał Ligę Mistrzów, można było oczekiwać, że na szlaku do zwiedzania znajdą się jakiekolwiek historyczne zdjęcia, koszulki piłkarzy czy piłki, którymi zdobywano gole w ważnych meczach. W Chelsea najwidoczniej na wycieczkach się nie znają.

Cieszę się, że na stadionie byłem ze wspomnianym znajomym, który Chelsea kibicuje. Dzięki niemu delikatnie uzupełniłem swój niedosyt. Dowiedziałem się od niego, że fankluby „The Blues" wykupują miejsca na trybunach, żeby wywiesić swoje flagi. Dzięki temu znajdują się one w tym samym miejscu przez cały sezon. Nie są nawet zdejmowane po meczach. Koledze na szczęście za tę informację płacić nie musiałem.

W ten sposób oprowadziłem państwa po Stamford Bridge i przy okazji spowodowałem, że zaoszczędzili państwo 30 funtów. Będąc w Londynie, pieniądze te lepiej zainwestować w zwiedzenie Muzeum Shreka, które znajduje się w pobliżu London Eye.

Kacper Janoszka

Sport 138d7f84ae

Klasyk dla Śląska

W świątecznym meczu lider przegrał we Wrocławiu.

ORLEN BASKET LIGA

Gospodarze do spotkania z włocławianami przystąpili mocno osłabieni – zabrakło Marcela Ponitki, Jeremiego Senglina oraz Daniela Gołębiowskiego. Goście w pierwszej połowie wykorzystali kłopoty rywali i prowadzili nawet 13 „oczkami". Wrocławianie straty odrobili, w drugiej połowie nie mylili się z linii osobistych, a trójkami razili D. J. Cooper i Angel Nunez. Anwil przegrał drugie spotkanie z rzędu, ale pozostaje liderem tabeli.

■ **Śląsk Wrocław - Anwil Włocławek 89:86 (20:26, 18:18, 26:18, 25:24)**

WROCŁAW: Nunez 22 (4x3), Cooper 19 (4x3), Kulikowski 11, Waczyński 5 (1x3), Nzekwesi 1 - Penava 22, Blackshear 1, Bogucki 6, Siembiga 2. Trener Aleksandar JONCEVSKI.

WŁOCŁAWEK: Nelson 3 (1x3), Taylor 12 (2x3), Petrasek 2, Ongenda 7, Michalak 6 - Funderburk 27 (1x3), Turner 18 (2x3), Łączyński, Jackson, Gruszecki 11 (3x3). Trener Selcuk ERNAK.

1. Włocławek	12	22	1085:955
2. Dziki	11	18	821:789
3. Legia	11	18	920:894
4. Wałbrzych	11	18	842:824
5. Sopot	11	18	990:974
6. Wrocław	12	18	944:953
7. Lublin	11	17	989:981
8. Szczecin	11	17	923:879
9. Słupsk	11	16	872:841
10. Stargard	11	16	858:865
11. Gliwice	11	16	949:995
12. Zielona G.	11	15	881:923
13. Ostrów W.	11	15	874:923
14. Gdynia	11	15	918:981
15. Dąbrowa G.	11	14	853:913
16. Toruń	11	14	871:912

Najbliższe mecze: Zielona Góra - Dziki (27.12.), Gliwice - Legia, Sopot - Wałbrzych (oba 28.12.),

Świąteczne granie

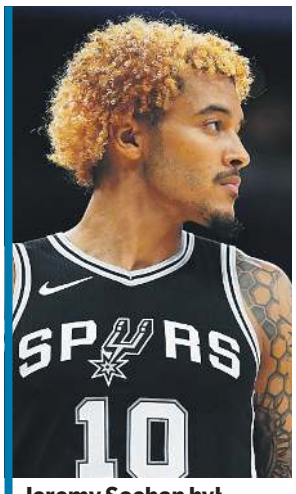
Wielkie widowisko w Madison Square Garden bez happy endu dla ekipy reprezentanta Polski.

NBA

Na świąteczne mecze kibice basketu czekali z niecierpliwością. Jako pierwsze rozegrano spotkanie w Nowym Jorku, gdzie specjalnie dla Europejczyków (godzina 18 naszego czasu) Knicks podejmowali San Antonio. Faworytami byli gospodarze, ale ekipa z Teksasu postawiła bardzo twarde warunki. Pierwsza połowa należała do Spurs (58:51), wśród których błyszczał Victor Wembanyama. Francuz już do przerwy miał na koncie double double (24 punkty, 11 zbiórek). Druga połowa była równie zacięta i niesamowicie emocjonująca. Nowojorczycy trzecią kwartę zakończyli serią 10:0, ale goście z San Antonio czwartą część rozpoczęli od kolejnych siedmiu oczek. Finisz należał jednak do gospodarzy, którzy zagrali w ostatnich sekundach rozważnie i skutecznie.

Ozdobą spotkania był strzelecki pojedynek Wembanyamy z Mikalem Bridgesem. Francuz zdobył 42 oczka, Amerykanin o jedno mniej. Obaj po sześć razy trafili za trzy punkty. Wyróżnił się także Jeremy Sochan. Nasz zawodnik był drugim strzelcem Spurs i drugim zbierającym. W 33 minuty zdobył 21 punktów, miał 9 zbiórek i 2 asysty. Polak trafiał z gry ze znakomitą skutecznością – 8 z 10 z gry, 3/3 za trzy!

Z innych świątecznych spotkań warto odnotować kontuzję Luki Doncicia w spotkaniu z Timberwolves (problem z łydką, możliwa dłuższa przerwa), kolejną porażkę Celtics u siebie (zwycięstwo z Bostonu wywiózł Joel Embiid i spółka) oraz wielkie emocje w derbach Kalifornii (Lakers wygrali w San Francisco dzięki akcji Austina Reavesa w ostatnich sekundach, wcześniej popis dał Stephen Curry).



Jeremy Sochan był drugim strzelcem Spurs w Nowym Jorku.

Poniedziałek. **Golden State - Indiana 105:111, Philadelphia - San Antonio 111:106, Orlando - Boston 108:104, Cleveland - Utah 124:113, Charlotte - Houston 101:114, New York - Toronto 139:125, Miami - Brooklyn 110:95, Atlanta - Minnesota 117:104, Oklahoma City - Washington 123:105, Memphis - LA Clippers 110:114, Chicago - Milwaukee 91:112, Dallas - Portland 132:108, Denver - Phoenix 117:90, LA Lakers - Detroit 114:117.**

Środa. **New York - San Antonio 117:114, Dallas - Minnesota 99:105, Boston - Philadelphia 114:118, Golden State - LA Lakers 113:115, Phoenix - Denver 110:100.**

(p)



Trener Chus Mateo często w tym sezonie musi brać przerwy.

To już nie jest lunapark

Wielki Real stał się w tym sezonie chłopcem do bicia. „Przestali mieszkać w wesołym miasteczku" - pisze hiszpańska Marca.

REAL MADRYT

Dokładnie przed rokiem „Królewscy" wymieniani byli jako pierwszy europejski kandydat do ewentualnej gry w NBA. Drużyna ze stolicy Hiszpanii była wtedy maszyną do wygrywania, nikt nie potrafił znaleźć sposobu na jej pokonanie. Niesamowity start w Eurolidze – 10 wygranych z rzędu! Podobnie wielki początek w lidze hiszpańskiej, gdzie Real był na czele tabeli z bilansem 9-0! Co ciekawe, w październiku odwiedzili Madryt zawodowcy z NBA i też dostali łupnia! Gospodarze pokonali wtedy Dallas Mavericks 127:123. W 2023 roku Real rozegrał rekordowe w historii klubu 92 mecze. Ustanowił też rekord zwycięstw – 74 wygrane (ponad 80 procent).

W tamtym okresie ekipa z Madrytu sięgnęła po dwa wielkie trofea – mistrzostwo Euroligi oraz Superpuchar. W 2024 roku Real został mistrzem ligi hiszpańskiej, grał też w Final Four Euroligi. Trener Chus Mateo został uznany za najlepszego szkoleniowca roku w Eurolidze, otrzymał statuetkę imienia Aleksandra Gomelskiego.

Zaplątany słoń

Wszystko wyglądało bardzo obiecująco, ale tej jesieni królewska układanka się posypała. U progu sezonu Real w finale Superpucharu Hiszpanii zmierzył się z Unicają. I niespodziewanie wygrała drużyna z Malagi, która przerwała serię sześciu kolejnych sukcesów Los Blancos w tych rozgrywkach. Potem było już tylko gorzej. Na początek sezonu ligowego sensacyjna porażka z beniaminkiem Leyma Coruna, zaraz potem kolejna wyjazdowa wpadka w Bilbao. A w Eurolidze prawdziwy koszmar – najpierw porażki w Monachium, baskijskiej Vitorii, Pireusie, Belgradzie i Mediolanie! Co wyjazd, to porażka. Potem doszły jeszcze wielkie kłopoty we własnej hali – przegrane z dwoma klubami ze Stambułu, Efezem i Fenerbahce, wreszcie łomot od litewskiego Żalgirisu!

„Madryt zaplątał się jak słoń, powolny, bez pomysłów, bez tej iskry, która przemieniła Pałac Sportu w miejsce, w którym wszystko mogło się wydarzyć. Nie ma już magii. Biali to grupa na kanapie, która nawet nie reaguje na flagi: dwie kolejne trójki Litwinów sprawiły, że rzucili ręcznik. Kolejna noc do zapomnienia" - pisał po meczu z Żalgirisem rozgoryczony dziennikarz „El Mundo".

Kilka tygodni temu po fatalnych porażkach we własnej hali z Fenerbahce i Żalgirisem Real wypadł z Top 10 i od tego czasu nie może do niej wrócić.

Ekipa z NBA

Czołowi zawodnicy Realu to gracze z przeszłością w NBA. 32-letni Argentyńczyk Facundo „Facu" Campazzo Avedano ma w kolekcji tytuł wicemistrza świata i dwa mistrzostwa Euroligi. Doświadczony rozgrywający grał w Realu jeszcze w okresie 2014-20, potem próbował swoich sił w NBA – był w Denver i Dallas – i wreszcie wrócił do Madrytu w minionym roku i od razu stał się kluczową postacią zespołu. Walter Samuel „Edy" Tavares da Veiga to gracz z Wysp Zielonego Przylądka, bez niego trudno obecnie wyobrazić sobie Real. Gra w stołecznej drużynie od 2017 roku, wcześniej występował m.in. w Atlanta Hawks czy Cleveland Cavaliers. Ma w kolekcji tytuły MVP finałów ligi ACB, MVP Superpucharu czy najlepszego obrońcy Euroligi.

Bośniak Dzanan Musa (rzucający obrońca / niski skrzydłowy) to także ciekawy i wciąż przyszłościowy gracz. Swego czasu zadebiutował w Eurolidze jako jeden z najmłodszych zawodników w historii, miał 16 lat i 160 dni.

28-letni Chorwat Mario Hezonja od ponad dwóch lat gra w Madrycie. Jeszcze w 2015 roku Orlando Magic wybrali go z piątym numerem w drafcie. Grał nie tylko na Florydzie, ale także w New York Knicks. W 2011 roku Hezonja był MVP Mistrzostw Europy do lat 16, po tym, jak w finale poprowadził swój zespół do złota, a sam zaliczył double double – 21 punktów, 10 zbiórek i 3 przechwyty.

Zmęczenie liderów?

Jakie zatem są powody wielkiego kryzysu? Hiszpańskie media twierdzą, że doświadczeni gracze mogą nie wytrzymywać ogromnego natężenia spotkań. Drużyny, które występują w Eurolidze, poza spotkaniami w ligach krajowych grają dodatkowo jeden, a niekiedy dwa mecze (wtorek i czwartek) na parkietach europejskich.

Wydaje się, że jeszcze ważniejsze były odejścia latem klubowych legend – Rudy'ego Fernandeza oraz Sergio Rodrigueza, a także Vincenta Poiriera. Dwaj pierwsi zakończyli kariery, trzeci trafił do Stambułu. Nie udało się ich zastąpić, zakontraktowani latem zawodnicy zawodzą. „Po Realu Madryt, który przez ponad dekadę rok w rok walczył o tron Euroligi, nie ma już śladu. W ciągu jednego lata spadek jakości jest ogromny. Los Blancos przestali mieszkać w wesołym miasteczku i stali się niezdolni do ucieczki przed ligowym terrorem" – w mocnych słowach pisała „Marca".

Sposób na poprawę sytuacji? Szykowane są zmiany personalne. Jest bardzo prawdopodobne, że Real rozstanie się ze sprowadzonym z rosyjskiego Jeniseja latem Kanadyjczykiem Xavierem Rathanem-Mayesem, w zamian madrytczycy na celownik wzięli Theo Maledona, gracza LDLC ASVEL Villeurbanne.

Za zmęczeniem idzie nerwowość. Czołowi gracze nie wytrzymują presji, nie radzą sobie z kolejnymi porażkami. Facundo Campazzo został wyrzucony z boiska w meczu z Bayernem, a potem jeszcze otrzymał 5000 euro kary oraz zawieszenie na jedno spotkanie. Także Hezonja został usunięty z boiska. W meczu z Żalgirisem sędziowie po dwóch przewinieniach technicznych na trybuny wyprosili również trenera Mateo.

Pojawiło się jednak światełko w tunelu. Real w dwóch kolejnych spotkaniach pokonał w Eurolidze francuski Paris Basketball, a zaraz potem liderujące w tabeli Monaco. Wracają lepsze czasy? Być może. Ale w lidze dla otrzeźwienia „Królewscy" właśnie ulegli Walencji...

(bb)

Sport 138d7f84ae

Co zyskała koszykówk

W treningu najważniejszy jest plan, zaś jego brak to planowa... porażka – to jedna z zasad, którą kieruje się dr Ryszard Poznański.



Fot. archiwum domowe

Ryszard Poznański planował zostać trenerem siatkówki, ale został wybitnym fachowcem z... koszykówki. I wcale z tego powodu się nie skarży...

Gdy byłem pierwszy raz na Śląsku i spacerowałem po chorzowskim parku, dotknąłem trawy i dłoń była czarna, jakbym włożył ją do smoły. Wówczas powiedziałem, że nigdy nie mógłbym mieszkać w tym regionie. Życie bywa jednak przewrotne. Otrzymałem ciekawą propozycję pracy, mieszkanie na start i... minęły 52 lata. A Śląsk? Przez lata wypiękniał i teraz wszystkich przekonuję, że nie ma lepszego miejsca do życia – uśmiecha się ceniony koszykarski teoretyk i praktyk, dr Ryszard Poznański, który mimo wieku emerytalnego jest czynny zawodowo i swoją wiedzą wspiera środowisko.

Co straciła siatkówka?

Jako małolat nie stronił od sportu, a jego pierwszym wyborem była siatkówka. W Słupsku, gdzie mieszkał z rodzicami, biegał na treningi siatkarskie. Był niezłym rozgrywającym, bo jako 16-letni chłopak występował już w zespole seniorów. Ba, został wypożyczony do juniorów klubu Zieloni Sławna i z nim zdobył brązowy medal mistrzostw Polski juniorów, rywalizując m.in. z Wiesławem Gawłowskim, późniejszym mistrzem olimpijskim. Przed maturą zastanawiał się nad wyborem uczelni. Wyższa Szkoła Morska w Szczecinie czy Akademia Wychowania Fizycznego w stolicy? – takie miał wówczas dylematy. Z fizyką nie był za pan brat i dlatego nie został „wilkiem morskim", lecz wybrał tę drugą drogę. Pierwsze podejście na AWF było spalone, bo do indeksu zabrakło... kilku punktów. Skończył kurs instruktora siatkówki, był przez rok, jako niespełna 19-latek, nauczycielem w szkole zawodowej oraz trenerem w Czarnych Słupsk. Po roku egzaminy wstępne zakończył sukcesem i znalazł się na najbardziej prestiżowej uczelni, gdzie roiło się od sportowych sław, i z przeszłości, i współczesności.

Gdy nadszedł czas wyboru specjalizacji, wydawała się oczywista. Ale gdy chciał się zapisać na zajęcia z siatkówki, okazało się, że wszystkie miejsca były już zajęte. Trudno się dziwić, skoro wówczas studiowali m.in. Zbigniew Jasiukiewicz, Zbigniew Zarzycki, Wiesław Gawłowski i Ryszard Bosek, późniejsi mistrzowie świata czy też olimpijscy. Nie wiemy, co straciła siatkówka, ale...

– W latach 80., będąc już pracownikiem uczelni w Katowicach, wraz z siatkarskim specjalistą dr. Grzegorzem Grządzielem napisaliśmy pracę „Szkolenie zawodników rozgrywających na tle współczesnej siatkówki". A swoją drogą dyplom i legitymację instruktora siatkarskiego przechowuję w swoim archiwum. To mój wkład w siatkówkę – dodaje z uśmiechem nasz bohater.

Zaskoczenie

Nie wiemy, co straciła siatkówka, ale wiemy, co zyskała rodzima koszykówka. Akademia WF w stolicy niewątpliwie była kuźnią kadr. Student Ryszard, z konieczności trafił do koszykówki, ale pod opiekę cenionych fachowców, m.in. Walentego Kłyszejki, Wiesława Piwowara czy Janusza Mroza. Był pilnym słuchaczem i trudno się dziwić, że Julian Sochan, dziadek naszego jedynaka w NBA, Jeremiego, ówczesny prezes AZS-u AWF-u, był orędownikiem pozostania zdolnego studenta na uczelni. Jednak pewnego razu do stolicy przyjechał Ryszard Patyna, absolwent tejże uczelni, który w Katowicach tworzył katedrę gier zespołowych w powstającej Wyższej Szkole Wychowania Fizycznego i poszukiwał kandydatów do pracy.

– Moi wykładowcy wskazali na mnie, przeprowadziłem z Ryszardem długą rozmowę. Wizja pracy była kusząca, niemniej była też perspektywa pracy i mieszkania w Warszawie, więc po głębokim zastanowieniu zrezygnowałem z Katowic. Wówczas wypowiedziałem te negatywne słowa o Śląsku, ale po latach przekonałem się, że to była pomyłka. Z obiecanego mieszkania w stolicy nic nie wyszło; zaproponowano mi miejsce w akademiku. To zupełnie mi nie odpowiadało i zadzwoniłem do Ryszarda, czy propozycja z Katowic jest aktualna. I... wszystko było już odpowiednio ułożone, bo przecież do roku akademickiego pozostało niewiele czasu. Nieco później przekonałem się, ile wysiłku go kosztowało, by wszystko odkręcić i znaleźć dla mnie miejsce na uczelni. Tak wylądowałem na Śląsku i... teraz jestem piewcą tego regionu – śmieje się wychowawca wielu koszykarskich talentów i trenerów.

Praca dwutorowa

Choć bez koszykarskiego doświadczenia, młody absolwent AWF-u miał głowę pełną pomysłów. Jednak trzeba było zadbać o rozwój naukowy i rozejrzeć się za praktyką. Patyna, jako szef zakładu gier zespołowych, pomógł znaleźć opiekuna naukowego, profesora Henryka Grabowskiego. „Badania nad modelem kandydata na studia wychowania fizycznego". Okazuje się, że uczeń z wysokimi ocenami w szkole średniej kończył studia i był cenionym fachowcem – tak w telegraficznym skrócie wynikało z badań przeprowadzonych do tej pracy doktorskiej. W tym samym czasie prace o podobnym profilu pisał Zdzisław Kręcina, późniejszy niezwykle barwny sekretarz generalny PZPN. Poznański równolegle rozpoczął pracę z młodymi adeptami koszykarskimi w Szkole Podstawowej nr 66 na Tysiącleciu. Początkowo zgłaszali się wszyscy chętni i zebrała się spora grupa entuzjastów, a jednym z wychowanków był Mirosław Pergoł, czołowy reprezentant juniorów, który po jednym z wojaży zagranicznych nie powrócił i teraz mieszka w Mannheim.

– Praca z najmłodszymi została usystematyzowana z pomocą Patyny, wówczas już trenera Baildonu, bo pracowaliśmy pod egidą klubu – wspomina późniejszy autor dwóch awansów zespołów z Katowic oraz Rudy Śląskiej do ekstraklasy. – Nie miałem odpowiedniej praktyki i najpiękniejsze w tym wszystkim było to, że rozwijałem się wraz z moim podopiecznymi. Najważniejsze, by słuchać tych bardziej doświadczonych i wyciągać właściwe wnioski. Powiem, choć może zabrzmi to nieskromnie, że potrafię słuchać.

Ryszard Patyna kładł podwaliny, ale przy tej okazji trudno nie wspomnieć Antoniego Piechniczka, doktora honoris causa katowickiej AWF, Jerzego Wrzosa, Ksawerego Bibrzyckiego – specjalistów piłki nożnej, Jerzego Huberta Wagnera – siatkarskiego guru, Jerzego Mruka – hokejowego specjalistę i twórcę play offu w naszym kraju, Tadeusza Hucińskiego, Adama Zająca czy Kazimierza Mikołajca – trenerów koszykarskich i wykładowców akademickich.

Katowicka uczelnia, przy współudziale naszego rozmówcy, była wielokrotnie organizatorem

Sport 138d7f84ae

ka...



Fot. archiwum domowe Ryszarda Poznańskiego

Ryszard Poznański po awansie do I ligi w 1995 r. z Pogonią Ruda Śląska.

kursokonferencji trenerskich z udziałem znanych rodzimych sław, m.in. Jerzego Świątka czy Ludwika Mięty-Mikołajewicza oraz zagranicznych gości.

Na ścieżce wyczynowej

Cztery koszykarskie ośrodki: Ruda Śląska, Bytom, Częstochowa i Katowice odgrywały wiodące role w szkoleniu dzieci i młodzieży, choć przy tej okazji trudno nie wspomnieć Rybnika, gdzie pojawiały „perełki", które potem przenosiły się najczęściej do stolicy Górnego Śląska. Pojawiło się wielu utalentowanych chłopaków, m.in. Andrzej Pluta, Adam Fiedler, Andrzej Skop, Edward Latka, którzy z powodzeniem występowali w ligowych zespołach czy też odgrywali wiodące role w reprezentacji (Pluta).

Ryszard Poznański przeszedł wszystkie tajniki szkolenia, od najmłodszych, poprzez juniorskie drużyny, do jednego z asystentów trenera kadry seniorów Jerzego Świątka. W nieistniejącym już Baildonie pracował od 1974 do 1988 r. Zespół po spadku z ekstraklasy w 1978 r. prowadziło kilku trenerów, m.in. Jan Mikułowski, a potem Stefan Mikulski zajmowali z zespołem miejsca w czołówce II ligi i zawsze czegoś brakowało. Po wyjeździe z kraju tego ostatniego opiekę nad seniorami – to była naturalna kolej rzeczy – przejął trener Poznański. Zespół m.in. z Marianem Węglarskim, Piotr Baranem, Piotrem Sroczyńskim, Bogdanem Rożkiem, Krzysztofem Janickim, Andrzejem Skopem, Krzysztofem Piechockim, Andrzejem Sterną, Dariuszem Goszczem pod jego kierunkiem sięgnął po awans. O wszystkim zadecydował ostatni mecz na własnym parkiecie z Resovią 92:77.

– Euforia była nie do opisania, bo przecież po latach znów byliśmy w najwyższej klasie rozgrywkowej (wówczas I liga – przyp. red.). Popełniliśmy jednak zasadniczy błąd, bo nie zdecydowaliśmy się na wzmocnienie zespołu, choć może takich możliwości nie mieliśmy – zastanawia się po latach.

Po sezonie koszykarze opuścili I ligę, a był to czas, gdy wyczynowy sport popadał w niełaskę, bo był na „garnuszku" zakładów pracy i nie cieszył się aprobatą ich pracowników, którzy walczyli z przeciwnościami dnia codziennego. Przez sezon prowadził Victorię (dawniej Zagłębie) Sosnowiec. Zespół, z organizacyjno-sportowych przyczyn, zaliczył spadek i trener po szkoleniowych wojażach zagranicznych wylądował w trzecioligowym Grunwaldzie Halemba. Po 1,5 roku pracy Zdzisław Zinka, kierownik drużyny Pogoni Ruda Śląska, a wcześniej znany koszykarz, namówił do pracy naszego bohatera. Przyszedł w trakcie sezonu i zespół pod jego kierunkiem z dolnej części tabeli awansował na czołowe miejsce w II lidze. W kolejnym sezonie – 1994/95 – był awans do ekstraklasy.

– Gdy zacząłem pracować z zespołami zawodowymi, zdałem sobie sprawę, że trudno dzielić obowiązki akademickie ze sportem wyczynowym – mocno akcentuje nasz rozmówca. – Uczelnia wymaga rozwoju naukowego, zaś ja byłem pochłonięty pracą. Podjąłem decyzję o pracy w klubie, wybrałem na tamten czas opcję, w moim przekonaniu, najlepszą. W Pogoni zaliczyłem kolejny awans i wówczas nie popełniliśmy błędu tego z Baildonu. Zespół wzmocnił m.in. Henryk Wardach, ponadto do drużyny powrócił jej wychowanek Mirosław Rajkowski, który z powodzeniem występował w Sosnowcu.

Trener i asystent

Siłą Pogoni, przynajmniej w początkowym okresie, było to, że kilku zawodników było wychowankami i wywodziło się z najbliższej okolicy. Dopiero gdy zespół „obrósł w piórka", sprowadzano koszykarzy zza oceanu. Jedne transfery były trafione, zaś drugie nieco mniej. Isaiaha Morrisa czy Antoine'a Jouberta do tej pory w Rudzie Śląskiej wspominają, ale byli tacy, z którymi było więcej problemów niż pożytku z ich gry. Dobre występy ligowe oraz w europejskich pucharach na pewno „elektryzowały" nie tylko miejscowych fanów kosza.

A czym się różni trener od swojego asystenta? – zaskakuje pytaniem Ryszard Poznański, który później – przez kilka lat – pełnił rolę drugiego w Pogoni, m.in. u boku Tomasza Służałka, Arkadiusza Konieckiego, Wojciecha Krajewskiego czy Dariusz Szczubiała.

Gdy nie dostaje odpowiedzi, z uśmiechem odpowiada: – Trener dużo zarabia, zaś asystent ma dużo pracy. A po chwili dodaje: - Asystent co najwyżej może sugerować, ale decyzję zawsze musi podjąć trener. Gdy działacze zdecydowali się na zatrudnienie Tomka Służałka, zaproponowano mi rolę asystenta i postanowiłem zostać przy zespole, bo byłem mocno z nim związany. Potem współpracowałem z innymi, ale najmilej wspominam czas z Darkiem Szczubiałem. Stanowiliśmy dobrze działający duet, wzajemnie się uzupełniający. Opuszczałem Pogoń skłócony z działaczami, którzy przed sezonem podpisywali kontrakty bez pokrycia, stąd też zaczęły się kłopoty organizacyjno-sportowe klubu. Przeniosłem się w 2002 r. do Trefla Sopot, gdzie miałem okazję pracować z Eugeniuszem Kijewskim, i też miło wspominam ten sezon. Złoto mistrzostw Polski było blisko, a skończyło się na srebrnym medalu.

Wojaże zagraniczne

Ryszard Poznański jeszcze w mrocznych czasach wyjeżdżał na obozy koszykarskie i przywoził materiały trudno dostępne dla naszego środowiska, a przede wszystkim zbierał doświadczenia. Najcenniejsze było poznawanie nowych ludzi o bogatych życiorysach koszykarskich. W kolejnych latach owocują one kolejnymi wyjazdami czy też wymianą materiałów szkoleniowych.

Pod koniec lat 80. Janusz Mróz, ówczesny szef szkolenia, wcześniej nauczyciel akademicki naszego bohatera, zaproponował wyjazd na festiwal koszykarski dzieciaków pod Londynem. Z całej Europy zjeżdżały się 5-osobowe zespoły 10-11-letnich dziewcząt i chłopców, by uczestniczyć przez tydzień w kilkugodzinnych zajęciach. Poznański miał przyjemność kierować zespołem chłopaków ze Śląska, a dziewczętami z Łodzi opiekowała się trenerka.

– Podczas moich zajęć na trybunach siadała pani i skrzętnie notowała – wspomina nasz rozmówca. – Nawet w najśmielszych marzeniach nie przypuszczałem, że otrzymam propozycję uczestnictwa w kolejnej klinice koszykarskiej. Jerry O'Brien, główny organizator tego przedsięwzięcia, zaproponował mi przyjazd do Dublina. Miałem być przez tydzień na jednym campie, a zostałem na trzech.

Szefem tegoż obozu był nie kto inny, jak Dick Tarrant, trener główny uniwersytetu w Richmond, który odnosił liczne sukcesy ze swoją drużyną w rozgrywkach NCAA. Znacznie później dr Poznański miał okazje uczestniczyć w obozach w Detroit z udziałem Isaiaha Thomasa, świetnego rozgrywającego. Jednym z wykładowców w Dublinie był Laszlo Nemeth, który zaliczył kilka sezonów w NBA.

– Podczas tego obozu graliśmy trenerzy na uczestników i po kilku minutach poczułem się źle. Musiałem opuścić parkiet, zaś po powrocie do kraju przeszedłem szczegółowe badana i dowiedziałem się o arytmii serca. I tak oto zakończyła się moja kariera koszykarza – śmieje nasz bohater.

W latach 90. miał okazję wyjechać na International Basket Academy (IBA) do Puli w obecnej Chorwacji (dawna Jugosławia). Tam poznał Boba Sassone, byłego koszykarza i cenionego trenera, który w latach 90. mocno się udzielał podczas campów na terenie Jugosławii i Włoch.

– Miał żonę Polkę i oprócz koszykarskich tematów rozmowy często schodziły na kulinaria, czyli... pierogi – wyjawia Ryszard. - Poprosiłem go, by odwiedził Polskę i przeprowadził kursokonferencję, która odbyła się w Rudzie Śląskiej. Pojawiło się szerokie grono trenerów z całego kraju.

Irvin Wiśniewski, w latach 80. zawodnik futbolu amerykańskiego, a później trener futbolu oraz koszykówki, z inspiracji trenera Stefana Mikulskiego przebywał na zgrupowaniu koszykarzy w Kamieniu. Z jego pomocą Ryszard Poznański miał okazję wyjechać na uniwersytet Delaware i uczestniczyć od początku do końca w przygotowaniach zespołu do rozgrywek. Tam miał okazję pracować również z dwoma grupami dziewcząt, które ćwiczą przez trzy miesiące, a potem zajmują się inną dyscypliną. Tam miał okazję przekonać się, co to znaczy profesjonalizm w każdym calu. Trudno byłoby zapomnieć wyprawę chłopców na mecz Detroit Pistons prowadzonych przez Chucka Daly'ego. Ten półroczny pobyt w USA to temat na osobne opowiadanie.

A teraz, jak przystało na żywotnego emeryta, nie zerwał z koszykówką, lecz dzieli się swoją wiedzą z trenerami i młodymi adeptami w SMOK-ach, czyli Szkolnych Młodzieżowych Ośrodkach Koszykówki. – Plan w treningu jest najważniejszy, jego brak to... planowa porażka. Sprawy błahe nie powinny być kluczowe, a kluczowe nie mogą być błahe. Upraszczaj wszystko, co możesz uprościć. W pracy musisz zadbać, by dzieci zrozumiały ćwiczenia. Trener musi inspirować i być liderem przez cały czas – to credo przekazuje m.in. przy okazji spotkań w tych ośrodkach. I mocno je Ryszard Poznański akcentuje, kiedy kończymy nasz spotkanie.

Włodzimierz Sowiński

Sport 138d7f84ae

Mistrz olimpijski będzie miał własną ulicę?

Piast Gliwice chce godnego uhonorowania Egona Franke, który w 1964 roku zdobył na igrzyskach w Tokio złoty medal we florecie.

SZERMIERKA

Egon Franke to jedna z naszych najwspanialszych sportowych legend. Był przede wszystkim doskonale wyszkolonym technicznie florecistą, ale dawał sobie świetnie radę również w szabli i szpadzie. Z igrzysk olimpijskich w Tokio przywiózł złoty medal. Był również legendą Piasta Gliwice, jedną z jego sztandarowych postaci.



Fot. Zhang Hongxiang / Xinhua / PressFocus

Egonowi Franke dziękujemy za wszystko!

Legenda gliwicka

– W przyszłym roku Piast Gliwice obchodzi jubileusz 80-lecia. Chcemy, żeby jednym z elementów uświetniających tę rocznicę było nadanie przez miasto jednej z ulic imienia Egona Franke, jednej z naszych legend – mówi „Sportowi" Andrzej Kyrcz, prezes stowarzyszenia Piasta. – Podniesiemy tę sprawę na jednym z najbliższych spotkań z miastem – dodaje.

Egon Franke z pewnością zasłużył na takie uhonorowanie. Sukcesów miał na koncie przecież jak zboża. To nie tylko pierwszy polski złoty medalista olimpijski w szermierce (zdobył tytuł we florecie) z Tokio (1964), ale również wicemistrz olimpijski (Tokio 1964), brązowy medalista olimpijski (Meksyk 1968), olimpijczyk także już z Rzymu (1960).

Urodził się w 1935 w Gliwicach jako syn pracownika miejscowej gazowni, ukończył w tym mieście szkołę średnią, był pracownikiem Huty 1 Maja jako kreślarz. Zaczynał uprawiać szermierkę w Budowlanych (1952-55), na chwilę ze zrozumiałych względów trafił do Legii Warszawa (1955-57), a większość kariery spędził w Piaście (1957-1971). Pracowali z nim świetni trenerzy – Antoni Franz, a także mjr Andrzej Przeździecki (podczas służby wojskowej) i Zbigniew Czajkowski w kadrze narodowej. Tego ostatniego miałem przyjemność poznać jeszcze w latach 90., usłyszałem od niego, że Franke był rewelacyjnym szermierzem, przede wszystkim znakomicie wyszkolonym technicznie. A przy tym budził podziw swoją wszechstronnością, najmocniejszy był we florecie, ale w szabli i szpadzie także dawał sobie świetnie radę. Wyróżniała go nienaganna klasyczna przy tym technika: znakomita praca nóg, długie wypady, szybkie i oszczędne ruchy bronią oraz myląće zwody. Do tego był cholernie pracowity i wytrwały, dlatego nawet pechowe urazy i choroby (dwukrotne zranienie oka, przebicie płuca, dokuczliwa choroba jelit czy żółtaczka) nie mogły stanąć na drodze do sukcesów.

Spać, spać, spać...

Pierwszy tytuł zdobył w 1955, było to mistrzostwo Polski juniorów we florecie. Głośno zrobiło się o nim i zresztą o całej polskiej reprezentacji podczas mistrzostw świata w Turynie (1961). Biało-czerwoni zdobyli wtedy brązowy medal w drużynie, ale w turnieju indywidualnym działy się rzeczy niebywale wspaniałe: Franke przegrał walkę o wejście do finału dopiero po barażu z Witoldem Woydą, a mistrzem świata został... Ryszard Parulski. O polskich florecistach mówił więc wtedy cały świat! Potem już poszło... Złoto olimpijskie wywalczył właściwie jako rekonwalescent, nie czuł się dobrze po chorobie jelit. Ogromne nerwy... „Kiedy grano Mazurka Dąbrowskiego, myślałem wyłącznie o tym, by uciec z sali, położyć się spać. Byłem potwornie zmęczony" – wspominał po latach.

Franke miał w dorobku również osiem medali mistrzostw świata, w tym złoty, który był dość wyjątkowy, bo zdobyty w szabli. Zresztą wymieńmy bardziej szczegółowo te osiągnięcia:

Mistrz Polski (ind.) we florecie (1962) i dwukrotny wicemistrz (1957, 1967), trzykrotny drużynowy mistrz kraju: we florecie (1960, 1969) i szabli (1956), wicemistrz we florecie (1965) i czterokrotny brązowy medalista drużynowych MP: we florecie (1958, 1961, 1966) i szabli (1966).

Mistrz świata w drużynie szabli w Buenos Aires (1962), wicemistrz świata (floret druż.) z Gdańska (1963) oraz brązowy medalista MŚ (floret ind.) z Gdańska (1963). Także czterokrotny brązowy medalista MŚ (floret druż.) z Turynu (1961), Buenos Aires (1962), Moskwy (1966) i Montrealu (1967).

Szacunek we Włoszech

Wszechstronny szermierz z Gliwic w latach 70. wyjechał do Włoch, gdzie został trenerem i wychował całe pokolenia utytułowanych zawodników. Trenował włoską kadrę florecistów.

Zawsze podkreślał, że jest Polakiem, kochał Gliwice i nigdy nie przyjął obywatelstwa włoskiego, a miał takie propozycje. Dla młodych zawodników był punktem odniesienia, uosobieniem elegancji, stylu i wyrafinowania. Był przy tym dżentelmenem, który nie zabiegał o honory i chwałę. Zasłużony Mistrz Sportu, odznaczony m.in. wielokrotnie Medalem za Wybitne Osiągnięcia Sportowe. Zmarł 30 marca 2022 roku w wieku 86 lat. **(pacz)**

Świąteczne przedłużenie

Andrea Giani na dwa kolejne sezony zostaje w klubie z Kędzierzyna-Koźla. Działacze informację przekazali w Boże Narodzenie.

SIATKÓWKA

Z ogromną satysfakcją będziemy kontynuować współpracę z trenerem Andreą Gianim również w dwóch kolejnych sezonach. Jego wyjątkowe podejście do pracy sprawia, że jest on nie tylko autorytetem w świecie siatkówki, ale także inspiracją dla całego zespołu. Trener Giani doskonale łączy wiedzę i pasję, co pozwala osiągać doskonałość w każdym aspekcie funkcjonowania drużyny. Jego wartości, zaangażowanie i podejście do sportu doskonale współgrają z naszą filozofią. Jesteśmy przekonani, że współpraca z najlepszymi, a trener Giani niewątpliwie do nich należy, to fundament dalszego rozwoju i droga do kolejnych sukcesów naszej drużyn – nie kryła radości z podpisania nowej umowy z włoskim szkoleniowiec Jadwiga Cichoń, prezeska ZAKSY.

Giani w świecie siatkówki to postać nietuzinkowa. Grał na pozycji przyjmującego. W reprezentacji Włoch zagrał 474 mecze (w latach 1988-2005), zdobywając z nią trzy medale igrzysk olimpijskich (dwa srebrne i brązowy), trzy razy mistrzostwo świata i cztery razy mistrzostwo Europy oraz siedem razy wygrywał Ligę Światową. W 2008 roku został przyjęty do amerykańskiej galerii sław siatkarskich (Volleyball Hall of Fame).

W karierze trenerskiej jego największym osiągnięciem jest doprowadzenie reprezentacji Francji do mistrzostwa olimpijskiego (2024).

Giani do ZAKSY dołączył latem po igrzyskach olimpijskich. Pod jego wodzą w PlusLidze ZAKSA wygrała 11 z 17 meczów i w tabeli zajmuje piąte miejsce z dorobkiem 34 punktów. Jest na najlepszej drodze, by awansować do play offu.

„Andrea Gianni dał się poznać jako trener o doskonałym zrozumieniu gry, z umiejętnością budowania zespołu i rozwijania potencjału zawodników. Jego doświadczenie, pasja i nieustanne dążenie do doskonałości przynoszą rezultaty w postaci dorobku sukcesów. Przypomnijmy, że Giani w swojej karierze szkoleniowca prowadził drużyny klubowe i reprezentacyjne, zdobywając tytuły mistrzowskie oraz medale w prestiżowych rozgrywkach, w tym mistrzostwo olimpijskie" – napisano w komunikacie ZAKSY.

(mic)

Udany rewanż

Jonas Johansson zaliczył 36 skutecznych interwencji i zachował pierwsze czyste konto w sezonie, a czwarte w trakcie kariery w NHL.

HOKEJ

Hokeiści Tampa Bay Lightning przegrali w niedzielę na własnym lodzie z Florida Panthers 2:4. Jednak dwa dni później na wyjeździe w Sunrise w pełni się zrewanżowali, wygrywając 4:0 (3:0, 0:0, 1:0). Tym samym passa czterech zwycięstw z rzędu „Panter" została przerwana.

Niewątpliwie jednym z bohaterów tej potyczki był 29-letni Jonas Johansson, który zaliczył 36 skutecznych interwencji. Szwedzki bramkarz po raz pierwszy w tym sezonie zaliczył czyste konto, a czwarte w karierze. O wygranej „Błyskwicy" zadecydowała pierwsza tercja, w której Siergiej Bobrowski trzy razy skapitulował. Zaczęło się od gola Nikity Kuczerowa (7 minuta), który tym samym zaliczył 50 pkt (15 goli+35 asyst) w sezonie. Niewiele później bramkę zdobył Jake Guentzel (10) i po raz drugi asystę zapisał rosły obrońca Victor Hedman. Na 3:0 podwyższył Mitchell Chaffee (17, w przewadze), a wynik ustalił Brandon Hagel (55, w przewadze i do pustej). Obie drużyny doskonale się znają, ale tym razem przyjezdni potrafili zaskoczyć obrońców Pucharu Stanleya. Paul Maurice, trener gospodarzy, nie miał większych pretensji do zawodników i podkreślał świetną dyspozycję szwedzkiego golkipera. I ponadto cieszył się, że drużyna będzie miała kilka dni wolnego, bo rozegrała sporo meczów przed świętami.

A „Diabły" z New Jersey ciągle straszą rywali i co najważniejsze punktują już w dziewiątym meczu z rzędu. Tym razem na własnej tafli pewnie pokonali New York Rangers 5:0 (1:0, 2:0, 2:0). Jacob Markstrom obronił 12 strzałów, po raz drugi z rzędu zaliczył czyste konto, a trzecie w sezonie.

Zespół New Jersey prowadzi w Konferencji Wschodniej (49 pkt) przed Washingtonem (48) i Florydą (46). W Zachodniej niezmiennie liderem jest Winnipeg (51) przed Vegas (49) i Minnesotą (46).

Florida – Tampa Bay 0:4, New Jersey – NY Rangers 5:0, Vegas – Anaheim 3:1, Boston – Washington 4:1, Pittsburgh – Philadelphia 7:3, NY Islanders – Buffalo 1:7, Nashville – Carolina 5:2, Minnesota – Chicago 4:3, Utah – Dallas 2:3, Columbus – Montreal 5:4, Toronto – Winnipeg 2:5, Vancouver – San Jose 4:3. **(ws)**

Sport 138d7f84ae

Było tak blisko...

W Perth i Sydney rusza United Cup, dobrze opłacane rozgrywki drużynowe wliczane do rankingów. Polacy, ubiegłoroczni finaliści, pierwszy mecz zagrają w niedzielę.



Fot. Jayne Kamin-Oncea-USA TODAY Sports/SIPA USA/PressFocus

Iga i Hubert już za kilka dni rozpoczną nowy sezon, ale pary na korcie tym razem chyba nie stworzą...

Iga Świątek i Hubert Hurkacz dwanaście miesięcy temu byli zaledwie o włos od wygrania United Cup, tracąc dwie piłki mistrzowskie i przegrywając z Niemcami 1-2 w finale. Teraz oboje wracają do Sydney i poprowadzą polską drużynę po raz trzeci z rzędu w walce o swój pierwszy tytuł w rozgrywkach drużynowych.

– W zeszłym roku byliśmy tak blisko - powiedziała Iga Świątek dla Tennis Australia po wylądowaniu w Sydney w poniedziałek. - Mieliśmy piłki meczowe w meczu „Hubiego" (z Aleksem Zverevem – przyp. red.). W tym roku chcemy mieć kolejną szansę i mamy nadzieję, że przejdziemy do ostatnich etapów turnieju, aby walczyć o zwycięstwo, ponieważ uważam, że nasza drużyna jest niesamowita. Mamy już duże doświadczenie w grze ze sobą – dodała numer 2 żeńskiego tenisa.

Pierwsi byli Amerykanie

To trzecia edycja imprezy, która jest kontynuatorką Pucharu Hopmana, uznawanego za nieoficjalne mistrzostwa świata par mieszanych, rozgrywanego w latach 1989-2019. Inauguracyjną edycję w 2023 roku wygrała drużyna USA prowadzona przez Jessicę Pegulę i Taylora Fritza. Tenisiści i tenisistki mogą liczyć na punkty do rankingów, a także dostają pieniądze za sam udział – ci z Top 10 po 230 tys. dolarów tylko za wyjście na kort - Świątek zarobi więc prawie milion złotych bez względu na wyniki! Nic dziwnego, że w Perth i Sydney sezon rozpoczną 4 z 6 najlepszych zawodniczek WTA Tour – obok Świątek, nr 3 Amerykanka Coco Gauff, nr 4 Włoszka Jasmine Paolini i nr 6 Kazaszka Jelena Rybakina – oraz pięciu z Top 11 rankingu ATP: Zverev (2.), Fritz (4.), Norweg Casper Ruud (6.), Australijczyk Alex de Minaur (9.) czy Grek Stefanos Tsitsipas (11.), a gra się piłkami Dunlopa, którymi rozgrywany będzie ruszający 12 stycznia w Melbourne pierwszy Wielki Szlem 2025, Australian Open.

SKŁADY GRUP

Perth

A: USA, Kanada, Chorwacja
C: Grecja, Kazachstan, Hiszpania
E: Chiny, Niemcy, Brazylia

Sydney

D: Polska, Czechy, Norwegia
E: Włochy, Francja, Szwajcaria
F: W. Brytania, Australia, Argentyna

Co ciekawe, rywalizacja toczyć się będzie na kortach twardych, ale gdy w Sydney na otwartych, w Perth pod dachem.

Z Zielińskim w mikście

Polskę – oprócz Świątek i Hurkacza - reprezentować będą Maja Chwalińska i Alicja Rosolska oraz Kamil Majchrzak i Jan Zieliński. Z tym ostatnim – triumfatorem z ubiegłego roku Australian Open i Wimbledonu w mikście (w parze z Tajką Su-wei Hsieh) – w czwartek trenowała Iga, więc wygląda na to, że stworzą parę turniejową.

18 drużyn zostało rozlosowanych do 6 grup (po 3 w Perth i Sydney), w których każdy zagra z każdym. Mecze składają się z pojedynków singlowych po jednym mężczyzn i kobiet w formacie tie-breaków (do dwóch wygranych) oraz jednego meczu pary mieszanej - z decydującym supertie-breakiem (do 10 punktów).

Rozstawieni z nr 2 Biało-czerwoni trafili do grupy z Czechami i Norwegią. Pierwszy mecz z Norwegami zagrają w niedzielę 30 grudnia (7.30 czasu w Polsce), a następnie przywitają Nowy Rok z Czechami (0.30 w noc sylwestrową).

Zwycięzcy grup awansują do ćwierćfinałów (2 stycznia), a ósemkę uzupełnią najlepsi wicemistrzowie z obu miast. Półfinały 4 stycznia w Sydney, dzień później finał także w tym mieście (7.30). Turniej będzie transmitowany przez Polsat Sport.

Nowi trenerzy w boksach

Świątek przybyła do Sydney po przygotowaniach pod okiem nowego trenera Wima Fissette'a; podobnie Hurkacz, któremu po raz pierwszy oficjalnie w boksie będzie towarzyszył dwukrotny mistrz olimpijski z Aten (2004), Chilijczyk Nicolas Massu, który od listopada dołączył do sztabu „Hubiego" wraz ze słynnym Ivanem Lendlem.

- Zamierzam spędzić kolejne dni również na ciężkich treningach i przyzwyczajaniu się do warunków - powiedziała Świątek, która w zeszłym roku została MVP turnieju. - Myślę, że moje przygotowania były całkiem dobre, chociaż krótkie, ponieważ mój sezon zakończył się później niż zwykle (do 18 listopada Polka grała w drużynowym Billie Jean King Cup – przyp. red.). Każdy dzień spędzałam na korcie ze stuprocentowym zaangażowaniem – zapewniła Świątek, która w czwartek trenowała z wracającą po urlopie macierzyńskim mistrzynią olimpijską z Tokio (2021) Szwajcarką Belindą Bencic, a w piątek w planach jest Brytyjka Katie Boulter.

Ile zarobią

Całkowita pula nagród w United Cup wynosi minimum 11,17 mln dolarów, podzielonych po równo między ATP i WTA. Indywidualne nagrody pieniężne są przyznawane na podstawie rankingu, wygranych meczów i zwycięskich drużyn (nie będą przyznawane punkty za miksty) – gdyby Polska wygrała całą imprezę, Iga jako zawodniczka nr 1 w teamie oprócz „wyjściowego" może zarobić ekstra 280 tys. dolarów. Najlepsi mogą też zdobyć maksymalnie 500 pkt, w zależności od swojego rankingu.

Tomasz Mucha

POLECAMY IMPREZY SPORTOWE W TV

PIĄTEK, 27 GRUDNIA

TVP 1
20.10 Przegląd wydarzeń

TVP SPORT
22.00 Sportowy wieczór

POLSAT SPORT 1
7.00 Tenis: United Cup, Kazachstan - Hiszpania, 9.00 Polsat Futbol Cast, 10.00 United Cup: Chiny - Brazylia, 20.10 Hokej: Puchar Spenglera, 0.30 Tenis: United Cup: Francja - Szwajcaria (na żywo)

POLSAT SPORT 2
9.00 Tenis: United Cup, Chiny - Brazylia, 15.10 Hokej: Puchar Spenglera, 17.20 Koszykówka: Orlen Basket Liga, Zastal Zielona Góra - Dziki Warszawa, 20.25 Turkish Airlines Euroliga: Bayern Monachium - Panathinaikos Aktor Ateny, 3.00 Tenis: United Cup, Kanada - Chorwacja (na żywo)

POLSAT SPORT 3
20.25 Koszykówka: Turkish Airlines Euroliga, Baskonia Vitoria-Gasteiz - Paris Basketball (na żywo)

POLSAT SPORT PREMIUM 1
7.00 Tenis: United Cup, Kazachstan - Hiszpania, 9.00 Chiny - Brazylia, 0.30 Francja - Szwajcaria (na żywo)

EUROSPORT 1
11.25 Narciarstwo alpejskie: PŚ w Bormio, trening zjazdu mężczyzn, 13.40, 14.55 Kolarstwo przełajowe: Superprestige - Loenhout kobiet i mężczyzn (na żywo)

CANAL+ SPORT
4.00 Koszykówka: NBA, Los Angeles Clippers - Golden State Warriors (na żywo)

ELEVEN SPORTS 1

20.55 Pn: liga belgijska, Anderlecht - Dender (na żywo)

Wszystkie telewizje korzystają z prawa do zmian w swoich programach. Powody zmian mogą być również niezależne.

Sport
Adres: 40-013 Katowice, ul. Uniwersytecka 13

Redaktor naczelny Andrzej GRYGIERCZYK
Redaktor wydania Grzegorz KACZMARZYK
e-mail: redakcja@dzienniksport.com.pl
tel.: 32 258 72 07
Wydawca
Edicom sp. z o.o.
ul. Hagera 41
41-800 Zabrze
Prezes Ryszard Halemba

Czterozłoty pływak Leon Marchand triumfatorem Ankiety PAP

67. ANKIETA PAP

Poczwórny mistrz olimpijski w pływaniu z Paryża, Francuz Leon Marchand, triumfował w tradycyjnej Ankiecie Polskiej Agencji Prasowej na dziesięciu najlepszych sportowców w Europie w 2024 roku rozpisanej wśród agencji prasowych Starego Kontynentu. Iga Świątek zajęła 23. miejsce.

W głosowaniu 21 agencji prasowych 22-letni Marchand, który w tegorocznych igrzyskach poza czterema złotymi wywalczył też brąz zgromadził 155 pkt. O 7 wyprzedził zwycięzcę kolarskich Giro d'Italia i Tour de France oraz mistrza świata w wyścigu ze startu wspólnego Słoweńca Tadeja Pogacara, natomiast o 13 także mistrza olimpijskiego z Paryża i rekordzistę świata w skoku o tyczce Szweda Armanda Duplantisa.

Z Polaków - poza Świątek, triumfatorką z 2022 r. - wśród zgłoszonych sportowców był Robert Lewandowski, któremu przypadło 40. miejsce.

4. miejsce w 67. edycji ankiety zajął lider światowego rankingu tenisistów, Włoch Jannik Sinner, piąte mistrz świata Formuły 1, Holender Max Verstappen, a szósty był hiszpański piłkarz Rodri, uznany za najlepszego zawodnika mistrzostw Europy.

Dalej uplasowali się szwajcarski alpejczyk Marco Odermatt, złota medalistka z Paryżu w skoku wzwyż i rekordzistka świata (2,10 m) Ukrainka Jarosława Machuczich; 9. lokata przypadła Belgowi Remco Evenepoelowi, dwukrotnemu złotemu medaliście paryskich igrzysk w kolarstwie szosowym, a czołową dziesiątkę zamknął serbski koszykarz Nikola Jokić, grający na co dzień w Denver Nuggets w NBA.

Marchand jest trzecim francuskim sportowcem, który zwyciężył w jednym z najstarszych na świecie plebiscytów. Wicemistrz olimpijski z Rzymu 1960 w biegu na 1500 metrów Michel Jazy wygrał w 1965 roku, natomiast alpejczyk Jean-Claude Killy był najlepszy dwukrotnie - w 1967 i 1968.

Jednocześnie Francuz to piąty wśród triumfatorów przedstawiciel pływania, a łącznie mają sześć zwycięstw. Niemka Kornelia Ender zajęła pierwsze miejsce w 1973 i dwa lata później, reprezentant ZSRR Władimir Salnikow wygrał w 1980, cztery lata później był najlepszy Niemiec Michael Gross, a Holenderka Inge de Bruijn w 2000 roku.

Sport 138d7f84ae



Andrzej Grygierczyk

BEZ ROZGRZEWKI

Janka szukanie, burzenie, budowanie

Ten międzyświąteczny czas – mam nadzieję, że (przynajmniej) dla większości z nas pogodny i pełen ciepła – jest dobrą okolicznością, by pochylić się nad tym, co w sportowym życiu jest sympatycznego, imponującego, skutecznego. A konkretniej: nie co, a kto, a jeszcze precyzyjniej – nad trenerem Górnika Zabrze, Janem Urbanem.

Znamy się długo, od momentu jego przeprowadzki z Zagłębia Sosnowiec do Górnika Zabrze. Przez lata jeździłem na praktycznie każdy mecz tego klubu. Aczkolwiek ominęła mnie fascynująca przygoda, czyli walka jak równy z równym z Realem Madryt w 1988 roku (nałożyła się ona na urlop, który wziąłem po igrzyskach olimpijskich w Seulu). Ta przygoda wiązała się z przegranym pierwszym meczem na Stadionie Śląskim 0:1 oraz porażką w rewanżu w Madrycie 2:3; przy czym do 77 minuty Górnik prowadził 2:1 po bramkach Piotra Jegora i Krzysztofa Barana. Trenerem Realu był wtedy Leo Beenhakker, a miał w składzie takich asów jak m.in. Emilio Butragueno, Hugo Sanchez, Manolo Sanchiz czy Paco Llorente, którzy mieli olbrzymi wpływ na to, że Real ostatecznie Górnika wyeliminował.

Jan Urban oczywiście był w składzie Górnika i być może właśnie wówczas został zauważony przez hiszpańskie kluby. W każdym razie niespełna rok później wylądował w Osasunie Pampeluna. I w niej, dokładnie 30 grudnia 1990 roku, zanotował najbardziej spektakularne osiągnięcie, wbijając... Realowi Madryt na jego stadionie trzy bramki i notując przepiękną asystę przy bramce na 4:0. Takim też wynikiem zakończył się ten mecz. W Pampelunie do dzisiaj go wspominają jako jedno z najpiękniejszych zdarzeń w historii tego klubu; czy ktoś się dziwi?

Po zakończeniu kariery – zwieńczył ją oczywiście w Górniku – uczył się krok po kroku trenerskiego fachu. Tę szansę dała mu najpierw Osasuna, gdzie pracował z dziećmi i młodzieżą, przy czym trudno odejść od konstatacji, że oto wybitny piłkarz o wyjątkowej technice zajmuje się tymi, którzy dopiero wkraczają w sportowe życie. Działo się więc w Hiszpanii coś, co byłoby bardzo cenne z polskiego punktu widzenia, a co niestety nie ma u nas miejsca: dobrzy (bardzo dobrzy) niegdyś piłkarze z zasady z dziećmi i młodzieżą nie pracują, a przecież, jeśli się uczyć, to u (od) mistrzów, a nie czeladników. Być może w następstwie m.in. tego polskie kluby są w takim, a nie innym miejscu europejskiej hierarchii, coraz bardziej tracąc dystans, nawet nie do elity, a do tych, co sytuują się dość daleko za nią. A okazja do spotkań z takim rywalem, jak Real, nadarza się sporadycznie, no i wynik jej właściwie z góry jest przesądzony.

W sumie Jan Urban miał inne zawodowe ambicje, szybko też zyskał sobie bardzo silną pozycję w polskiej piłce klubowej. Pracował z powodzeniem m.in. w Legii i Lechu, zdobywając z nimi najważniejsze trofea w polskiej piłce. Ale bodaj najlepiej świadczy o jego szkoleniowych umiejętnościach praca w Górniku Zabrze. Co tu dużo mówić – praca mało komfortowa z co najmniej dwóch zasadniczych przyczyn: nieustanne kłopoty organizacyjne (to taki tam eufemizm oznaczający, że brakuje kasy) oraz konsekwencje tego w postaci fluktuacji zawodników. Mówiąc prostszym językiem: kto się wyróżni(ał), ten opuszcza(ł) Górnika. Praca Urbana kojarzy się zatem z hasłem legendarnej śląskiej grupy muzycznej SBB – szukaj, burz, buduj (choć w istocie skrót ten oznaczał Silesian Blues Band).

Innymi słowy, w Górniku pod Urbanem jest tak, że z początkowego chaosu i mgławicy prędzej czy później wyłania się godny podziwu, konkretny kształt, groźny dla rywali. A potem – zwykle na koniec sezonu – rozpada się on. Tak z zadziwiającą regularnością dzieje się od 2021 roku, czyli od początku jego pracy na Roosevelta, z nieszczęsną przerwą na eksperyment z Bartoshem Gaulem, który omal zakończył się degradacją. Na szczęście w Górniku w porę poszli po rozum do głowy i z Urbanem się przeprosili.

Nie ulega wątpliwości, że od dłuższego czasu jest on najważniejszą postacią Górnika. Bo jest profesjonalny, skuteczny, sympatyczny. Tylko na jak długo wystarczy mu cierpliwości i nerwów, by pracować w tych średnio komfortowych warunkach, w takich, w których wciąż od nowa trzeba szukać, burzyć, budować...

Powiadają, że „polowanie" na niego już się zaczęło...



Praca Urbana kojarzy się zatem z hasłem legendarnej śląskiej grupy muzycznej SBB – szukaj, burz, buduj (choć w istocie skrót ten oznaczał Silesian Blues Band).

Nowy cel: eksploracja

To ekscytujące, że w XXI wieku są jeszcze miejsca, gdzie człowiek nie dotarł – podkreśla himalaista Adam Bielecki.

HIMALAIZM

Wspinacz opowiedział Polskiej Agencji Prasowej o zmianie celu swoich wypraw oraz nowym cyklu prelekcji. Wspinaczka na szczyty o wysokości ponad osiem tysięcy metrów zyskuje rosnącą popularność. Od lat wyzwania zdobycia najwyższych gór Ziemi podejmują się nie tylko profesjonalni wspinacze, ale też turyści. W efekcie wyraźnie dostrzegalne jest przeludnienie szlaków, które generuje coraz więcej zanieczyszczeń i zagrożeń. Dochodzi do sytuacji, kiedy to sportowcy mają trudność ze swobodnym funkcjonowaniem w górach.

Wspomniane zmiany wpłynęły na decyzję Adama Bieleckiego o zmianie celu swoich wypraw. – Ciekawsze jest dla mnie zdobycie szczytu jako pierwszy człowiek, niż bycie wspinaczem dwu-, czy trzytysięcznym, który kolejny raz wszedł na jakiś ośmiotysięczny wierzchołek – powiedział himalaista, komentując zmianę swoich preferencji wspinaczkowych. Ekscytujące doświadczenie wiąże się z ryzykiem, jakim jest oddalenie od cywilizacji. Jeśli dojdzie do wypadku, zorganizowanie akcji ratunkowej staje się skomplikowane. W większości przypadków wspinacze są zdani na siebie, jednak, jak zaznacza rozmówca, to część wyzwania, jakiego podejmuje się w pełni świadomie.



Fot. Łukasz Sobala/Pressfocus

Adam Bielecki nie jest już zainteresowany wspinaczką na najpopularniejsze szczyty.

Kolejnym argumentem, o jakim wspomina Bielecki, jest czas spędzony w górach. Zaznacza, że wyprawy na ośmiotysięczniki zajmują miesiące, tymczasem podjęcie próby zdobycia niższego szczytu pozwala bardzo zredukować liczbę dni spędzonych w górach wysokich. Wyprawy eksploracyjne, w jakich uczestniczy himalaista, różnią się znacznie od popularnych niegdyś wypraw oblężniczych. Wtedy to grupy liczące nawet kilkanaście osób zakładały kolejne obozy, poręczowały górę i przygotowywały do możliwości przeprowadzenia ataku szczytowego. Brało w nim udział zazwyczaj kilku najsprawniejszych uczestników. W swoich ostatnich wyprawach Bielecki preferuje styl alpejski. Zespół przeważnie liczy dwie lub trzy osoby, a wejście na szczyt odbywa się w jednorazowym ataku, podczas którego wspinacze codziennie przenoszą swój obóz coraz wyżej. Takie wyprawy korzystają z mniejszej ilości sprzętu i trwają krócej niż te tradycyjne.

Eksploracja niezdobytego jeszcze szczytu stanowi wyzwanie dla uczestników wyprawy. Wspinacze muszą kierować się wieloma kryteriami. Najważniejsze dotyczy bezpieczeństwa, czyli doboru linii wspinaczki chronionej przed tzw. czynnikami obiektywnymi, na jakie ludzie nie mają wpływu. – Mówimy tu przede wszystkim o lawinach, czy to śnieżnych, czy kamiennych. A więc unikamy wspinania pod barierami seraków. Unikamy wspinania wiszącymi lodowcami. Unikamy też formacji wklęsłych, w których ewidentnie sypią się kamienie – tłumaczy Bielecki.

Sukces ekspedycji zależy również od wyboru odpowiedniego terenu do wspinania. – Szukamy naturalnych ciągów komunikacyjnych dla wspinaczy, czyli właśnie jakichś kuluarów, ciągów lodowych – opowiada dalej. Podkreśla, że lód pozwala na szybsze poruszanie niż teren skalny. Aspektem, jaki wspinacze muszą uwzględnić, jest sprawne i bezpieczne zejście ze zdobytego szczytu. Oprócz ustalenia linii wejścia, konieczne jest wypatrzenie odpowiedniej linii powrotu. – Trzeba do tego zawsze podejść całościowo i pamiętać o tym, że droga nie kończy się na szczycie, że wierzchołek to dopiero połowa naszej wspinaczki – podsumowuje wspinacz.

Himalaizm jest specyficzną dyscypliną sportu. Uczestnicy wypraw są samotni w górach, przez co nie mają kontaktu ze swoimi kibicami. Dopiero po powrocie mają możliwość podzielenia się doświadczeniami z osobami interesującymi się wspinaczką wysokogórską. Bielecki rozpoczął cykl prelekcji pt. „Cel: eksploracja". Podczas spotkań opowiada, jak przebiega wyprawa na niezdobyty szczyt. Wypowiedź ilustrowana jest filmem, po prelekcji istnieje możliwość indywidualnej rozmowy ze wspinaczem.

Adam Bielecki wszedł na pięć ośmiotysięczników. Jest jednym z pierwszych zimowych zdobywców Gaszerbrumu I (9 marca 2012 r. wraz z Januszem Gołąbem) oraz Broad Peak (5 marca 2013 r. z Arturem Małkiem, Tomaszem Kowalskim i Maciejem Berbeką). Pozostałe szczyty ośmiotysięczne, które zdobył, to Makalu (30 września 2011), K2 (31 lipca 2012), Gaszerbrum II (16 lipca 2018). W 2023 r. wraz z Mariuszem Hatalą oraz zespołem Szerpów uczestniczył w akcji ratunkowej na Annapurnie, podczas której uratowano hinduskiego wspinacza Anuraga Maloo. Bielecki wspina się bez użycia dodatkowego tlenu.

Klaudia Grzywacz/PAP

Sport 138d7f84ae